

# Odgłosy

NR 35 (1431) ROK XXVIII 31 SIERPNIĄ 1985

CENA 20 ZŁ

- „Wielki las”  
Zbigniewa Nienackiego
- Widmo plajty
- Podróż do grodu św. Marka
- Kto opłacał przewoźnika



Foto: Grzegorz Gałasiński

## Poseł powinien służyć państwu

**HENRYK WALENDA**, lat 55. Z wykształcenia socjolog, z zawodu dziennikarz. Wieloletni redaktor naczelny „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO”. Ma w życiorysie dziewięcioletni okres pracy w dyplomacji, jako radca ds. kultury w ambasadach PRL w Indiach i USA.

**JW:** Czy są trudne pytania?

**HW:** Nie. Są wyłącznie trudne odpowiedzi. Nie mam pojęcia, jak się udziela wywiadu. Zawsze stałem po tej drugiej stronie Ale lubię fechtunek na argumenty i nie mam powodu obawiać się spotkań z wyborcami.

**JW:** Wyborcy będą zapewne oczekiwać, że odpowie im pan na wiele pytań z bardzo różnych dziedzin. Będą chcieli poznać pańską orientację i zdanie w wielu kwestiach?

**3**

## Nie można bać się trudności

TERESA JERZYKOWSKA

Ze Stefanem Bączkiem, zastępcą dyrektora Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii umówiłam się w pierwszym dniu jego pracy po urlopie. W czasie naszej rozmowy do pokoju wielokrotnie wchodziły koledzy i współpracownicy, aby przywitać się — i złożyć gratulacje. Cieszymy się i będziemy na ciebie głosować — zapewniali. Widać było że Stefan Bączyk, zgłoszony jako kandydat na kandydata do Sejmu przez Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego cieszy się w pracy szacunkiem i sympatią.

Od najmłodszych lat praca i działalność społeczna w życiu Stefana Bączyka łączyły się w jedną całość. Najpierw była to po prostu konieczność — a może i trochę przypadek — następnie już świadomy wybór drogi życiowej.

„Zaraz po wojnie — wspomina — mając 15 lat wróciłem wraz z niewiele starszą siostrą do zrujnowanego gospodarstwa. Uporządkowanie go, zebranie plonów — to był nasz pierwszy, najważniejszy, obowiązek. Drugim równie ważnym, było dla mnie nadrobienie zaległości w nauce, powstałych w czasie okupacji...”

Dla kilkunastoletniego chłopca była to, jak wydaje się obecnie, praca ponad siły, a jednak — znalazł się czas także i na inne zajęcia, wynikające po prostu z wewnętrznej potrzeby działania i jeszcze wówczas nie nazywane pracą społeczną.

„W mojej rodzinnej wsi, w Choctwie (koło Widawy) istniała niezła baza, a także pewne, przedwojenne jesz-

**3**

4 lipca 1985 roku funkcjonariusze Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Radomsku wynoszą z piwnicy bloku przy ulicy 16 Stycznia dużą czarną skrzynię. W jej wnętrzu znajdują się dwa pistolety maszynowe, cztery sztuki broni krótkiej amunicja — wszystko w dobrym stanie; zakonserwowane sprawne. Właścicielka piwnicy jest stara kobieta która nie potrafi wytłumaczyć pochodzenia czarnej skrzyni. Stwierdza jedynie że dostępu do piwnicy strzegł jej zmarły przed niespełna rokiem mąż. Nazywał się Czesław Oszczeński. W tej sytuacji postępowanie wyjaśniające zostaje przerwane. Wydało się, że Oszczeński zabrał tajemnicę do grobu.

Zmarły był człowiekiem skrytym. Nigdy nie opowiadał o swojej przeszłości. Dopiero w 1981 roku ujawnił że był żołnierzem Armii Krajowej posługującym się pseudonimem „Komar”. Nikomu nie zdradził że w 1947 roku został aresztowany i postawiony przed sądem

wojskowym. W jego życiorysie jest wiele białych plam, niewyjaśnionych zagadek. Można sądzić, iż kluczem do zagadki ostatecznie, związanej z przechod-

ROMAN KUBIAK

## Stary człowiek z Banditenstadt

wywaną bronią, są wydarzenia, które „Komar” chciał przemilczeć.

DRUGA DO LASU

3 września 1939 roku Radomsko dostaje się w ręce niemie-

ckie. Dywizja pancerna Wehrmachtu przełamuje pozycję 30 Dywizji Piechoty oraz Wołyńskiej Brygady Kawalerii. Wchodzi w lukę między armia-

mi „Łódź” i „Kraków”, opanowuje mosty na Warcie, zajmując słabo oślonięte miasto. Ludność stawia wrogowi czynny opór, co wywołuje fale represji masowej egzekucje. W polowie września w Radomsku instaluje się hitlerowska policja bezpieczeństwa, niebawem przekształcona w stałą placówkę —

Krymnalkommissariat. Niemcy sprowadzają osadników wysiedlając ludność polską. Trwa przestawianie fabryk na produkcję wojskową. Stopniowo ro-

dzi się zorganizowany opór Polaków, powstają grupy sabotażowe. Oszczeński silnie związany z przedwojenną PPS, nawiązuje kontakt ze Związkiem Wyzwolenia Polski Ludowej — organizacją wchłonętą później przez Związek Walki Zbrojnej. Pracuje w zakładach metalowych

produkujących na potrzeby armii hitlerowskiej. Ma więc „mocne” napiery.

Od 1941 roku w Radomsku

(2)

nasilają się akcje wymierzone w okupanta. Niemcy przeprowadzają masowe aresztowania. W maju 1942 roku oddział Armii Krajowej zabija szefa miejscowej placówki gestapo SS-Untersturmfürera Bergera i jego zastępcę Wagnera. Hitlerowcy mszczą się z wyjątkowym okrucieństwem. Wielu młodych Po-

laków musi zbiec do lasu. Ale opór nie słabnie, mnożą się akty sabotażu, rozbrajania żandarmów i policjantów. Odąd faszyci będą nazywać Radomsko dosadnym określeniem „Banditenstadt”.

W tym czasie Oszczeński nadal pracuje w fabryce. Jego kontakty z ruchem oporu prowadzą się w regularne działania konspiracyjne. Uczestniczy w kursach organizatorskich, rządziej strzeleckich. Jest przecież dobrze wyszkolonym podoficerem.

W 1943 roku w okolicach Radomska podejmują walkę zbrojną pierwsze oddziały leśne Armii Krajowej. 8 sierpnia tegoż roku grupa złożona z patrolu dywersyjnego dowodzonych przez porucznika Stanisława Sojczyńskiego (pseud. „Zbigniew”) rozbiją radomszczańskie więzienie, uwalniając 41 działaczy ruchu oporu. Uwolnieni zasilają szereg oddziału. Niedługo potem oddział liczy już prawie 200 ludzi.

**5**

















# Jak zachować wspólnotę?

Pseudoepigraf — to polecie najtrafniej chyba oddać gatunkowe cechy debiutanckiej prozy Ryszarda Kurylczyka. Złożyły się na nią dwie krótkie powieści historyczne: „Sekretne archiwum Kambudży” oraz „Jeruzalem, Jeruzalem”. Ta ostatnia nadała tytuł dyktacji. Pseudoepigraf jest odmianą apokryfu i oznacza utwór o fałszywie przypisywanym autorstwie. Rozpoznawanie pod nazwiskiem znanym z historii lub legendy. Termin ten odnosi się także do apokryfów związanych tematycznie z niektórymi księgami Starego Testamentu. Pasuje jak ułaj do książki Ryszarda Kurylczyka.

Jej akcja (o ile w ogóle o akcji można tu mówić) rozgrywa się w VI i V wieku przed naszą erą na terenie imperium perskiego, największego organizmu państwowego, jaki świat dotąd znał. Dwa są motywy przewodnie tej prozy. Pierwszy, widoczny zwiastuje w „Sekretnym archiwum Kambudży” opowiada o narodzinach i mechanizmach tworzenia perskiej potęgi. Drugi, niejako równoległy, lecz wyeksponowany dopiero w „Jeruzalem, Jeruzalem”, mówi o odbudowie Jeruzolimy i Świątyni oraz o od-

budowie i utwierdzeniu wspólnoty żydowskiej w granicach państwa perskiego.

Perski Cyrus był władcą małego królestwa Anshan i wasalem króla Medów. W 553 roku przed Chrystusem podniósł bunt przeciw swemu zwierzchnikowi. I wygrał. Poparł go władca Babilonu, lecz sam padł wkrótce ofiarą błyskawicznie rosnącej potęgi Persji. Zdumiewająca łatwość podbojów Cyrusa tłumaczy się różnicą: bitnością i uzdolnieniami strategicznymi, ważniejsze jednak okazały się inne uzdolnienia — otóż zdobywca usiłował pozyskać lojalność, a nawet szacunek podbitych ludów. Respektował więc odrębność swoich poddanych, zwłaszcza religijną (między innymi zezwolił na autonomię Judei i powrót ludności żydowskiej deportowanej wcześniej przez Babilończyków), starał się uchodzić za władcę wielkodusznego i oświeconego. Była to, rzecz prosta, jedna strona medalu. Druga polegała na stałej gotowości militarnej oraz sprawności administracyjnego nadzoru nad własnym imperium. Cyrus wydał edykt zapewniający Żydom liczne swobody. Niełasko w podzięk Deutero-Izajasza-

jeden z autorów Księgi Izajasza, nazwał go Pomazaniem Pana. Utworzono prowincję Jehud (Juda) i losy tej berkskiej prowincji zamieszkałej przez ludność żydowską znacząco zostały z państwem perskim aż do czasów Aleksandra Macedońskiego, to jest na okres dwóch stuleci.

W „Sekretnym archiwum Kambudży” autor przedstawia się jako tłumacz zachowanych pamiątek z irańskiego muzeum tabliczek tworzących domniemane archiwum syna Cyrusa tego następcy, znanego również pod imieniem Kambuzesa. Niby przekładając teksty z języków aramejskiego i elamijskiego oraz układając je w spójną całość usiłuje „tłumaczyć” wydobytą z korespondencji prowadzonej między monarchami oraz ich najwyższymi urzędnikami zausznikami przede wszystkim sposób myślenia, motyw działania, mechanizmy sprawowania władzy. Treść listów obejmuje ćwierćwiecze 550—525 pne. Kurylczyk stara się dostarczyć możliwie dużo wiedzy o owej niezwykłej i tak odległej epoce. Podziwiać należy jego erudycję. Proza jego często przybiera charakter opowieści, dając przykłady uniwersalnych prawideł ludzkiego losu. Przedstawione w listach sytuacje oraz problemy stały się wykładnikiem powszechnie spotykanych prawd moralnych. Często spotykamy stwierdzenia w rodzaju: „Te cnoty, o które

Panie pytałeś, to: hojność, a potem zaraz nie innych które on za jedną cnotę liczył: niezabijanie, niekradzenie, nieuczynienie, nieklamanie i wieniec napojów ni z roślin, ni z drzew, ni z młaka kobyłego, które wole odbierają. Za trzecią cnotę uważa on ofiarność, potem: zgodność, szczerść, cierpliwość, łagodność, uprzejmość, nabożność i pomaganie innym. Nie wiem, jak można tego wszystkiego przesądzić, bo wtedy wśród ludzi nie ma po co się pokazywać. Czy człowiek przez to dobrym jest, nie wiem i próbować nie chce”. Można więc proze Ryszarda Kurylczyka odbierać w sposób różnorodny, jako parabolę, jako powieść historyczną, a nawet jako powieść polityczną. Kwestia zdobywania i sprawowania władzy zdaje się być tu problemem numer jeden. Z jednej strony spotykamy wypracowaną w ciągu wieków triadę: trucizna — sztybet — podstęp; z drugiej zaś autonomię — swobody religijne — wspólna ofiarność. „Sekretne archiwum” potwierdza biblijną zasadę, że kto mieczem wojuje od miecza ginie. Upadała wspaniała imperia i potęgi militarne. Trwa cywilizacja i nadzieja tej ocalenia.

Sprawa numer jeden w powieści „Jeruzalem, Jeruzalem”, jest odbudowa gminy żydowskiej w Jeruzolimie i w Judzie po powrocie z niewoli babilońskiej. Wprawdzie Żydzi

byli nadal uzależnieni politycznie od Persji, ale w sprawach wewnętrznych mogli postępować zgodnie z własnym prawem. To właśnie od tej porę — od V wieku przed Chrystusem — podstawowym wyróżnikiem Żyda stała się sumienne przestrzeganie Prawa Mojżeszowego.

O tym samym możemy przeczytać w Księdze Ezechiasza i Księdze Nehemiasza ze Starego Testamentu. Jak wiadomo Księża te noszą imiona nie autorów, lecz postaci w nich działających. Sens ich sprawowania się do myśli, iż do karze, jaka była niewola babilońska, następuje odnowa. Otwiera ona nowy etap w życiu narodu i stwarza nową nadzieję.

Nehemiasz piastował wysokie stanowisko (był podczaszem) na dworze króla perskiego Artakserksesa I. Gdy zapoznał się z sytuacją Judy wykorzystawszy woliwy i zdobył pełnomocnictwa upoważniające do ponownego ufortyfikowania Jeruzolimy. Wbrew licznym trudnościom i przeszkodom spowodował, że w ciągu pięćdziesięciu dwóch dni miasto opasane zostało murami obronnymi. Można więc uważać Nehemiasza za współtwórcę widomej jedności Żydów, jako że w rezultacie jego działań Jeruzolima znów się załudnia. Natomiast współtwórcą wspólnoty duchowej stał się Ezechiasz. Przeprowadził on reformę religijną — spowodowa-

wał królewski reskrypt Prawa Mojżeszowego, co w praktyce uczyniło owo Prawo prawem państwowym gminy żydowskiej. Kwestią niemal kluczową stał się problem małżeństw mieszanych. Rozstrzygnięto to radykalnie, bódalaic obcokrajemienne żony i ich dzieci. W Judzie zapanował rygor — utwierdzając wspólnotę narodową i wyznaniową.

Stanowi więc Jeruzalem „Jeruzalem” pochwałę działań prowadzących do zachowania wspólnoty, do ocalenia i krzepnięcia narodowej pamięci: „Pamiętki są kruche i łatwo je w nicłość obrócić, ale trwałe są nawet od marmuru: jest ludzka pamięć! I co w tej pamięci godne jest przekazania z pokolenia na pokolenie, to przetrwa wszystkie marmury!”.

Debiut Ryszarda Kurylczyka zasługuje na wnikliwą lekturę.

## TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Ryszard Kurylczyk, „Jeruzalem, Jeruzalem” PAX Warszawa 1984 s. 186, nakład 5 000 + 330 egz., cena zł 180.

# Odejść z honorem

Zainteresowania „problemem chłopskim” towarzyszą polskiej literaturze współczesnej niemal od samego początku, a jeśli potraktować międzywojenne powieści Worcella, Pięta, Mortona jako awangardę nurtu ludowego, to są one jeszcze starsze. Powojenna historia ich prozatorskich eksplikacji znać dzieła Juliana Kawacza, Tadeusza Nowaka, Wiesława Myślińskiego oraz twórców młodszych, nieco mniej utytułowanych, lecz równie utalentowanych — Pilota, Trzaski, Redlińskiego, Ratajczaka, Łozińskiego i Schuberta. Książki wspomnianych pisarzy prezentują odmienne stosunek do „tematu wiejskiego”: od głębokiego zaangażowania poprzez artystyczny pretekst aż do literackiej prowokacji, od patosu i heroizacji do żarliwej pasji demistyfikatorskiej. Ukazują ponadto różnicowany obraz podchodzenia do tekstu. Dążenie do maksymalnego autentyczności kontrastuje w nim z nieprzekraczającą ram konwencji stylizacją, a dążenie do gwarowy szczegół niejednokrotnie ustępuje miejsca śmiałości eksperymentu językowego. Te ostatnie słowa odnoszą się głównie do „Konopielki” Edwarda Redlińskiego i „Panny Lilianki” Ryszarda Schuberta.

Ryszard Binkowski, którego powieść „Eksmisja” ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, jest również niejednokrotnie z wymienionych autorów, obaj bowiem urodzili się w 1940 roku. Z innych zabiegów komparatywnych świadomie zrezygnowałem, gdyż w porównaniu z dziełami Redlińskiego, tudzież pozostałych filarów prozy chłopskiej, twórczość Binkowskiego wypadłaby niekorzystnie, a co najistotniejsze, jego ostatnia książka ujawnia również liczne pozaartystyczne przesłanki, wpływające na strukturę samego przekazu, które zdają się potwierdzać słuszność takiej decyzji. Należy do nich niewątpliwie kategoria narratora. Wybór „trzecioosobowego opowiadacza” pozostaje w sprzeczności z fundamentalnym dla najnowszej literatury ludowej, zwycięskim „ja mówiącym”. Interesujące spostrzeżenia dotyczące roli tego zaimka jako podstawowego kwantyfikatora twórczości inteligencji chłopskiej, poczynił na marginesie prozy Nowaka i Myślińskiego wybitny znawca przedmiotu — Roch Sulima: „Ja mówię” — znaczy jeden z najbardziej radykalnych aktów zwrócenia uwagi na siebie, odnalezienia i samopotwierdzenia się w świecie. (Regiony, 1983 nr 1, s. 85).

W świetle powyższych refleksji „Eksmisja” jawi się książką pozbawioną aspiracji autokreacyjnych pisarza, chęci identyfikacji i potrzeby afirmacji czy raczej usprawiedliwienia swojej obecności. I tak jest w istocie, ale to, co w życiu poczytuje się za skromność, w literaturze uchodzi najczęściej za oznakę przeświadczenia. Nie wolno jednak popadać w skrajność. Kategoria narratora nie jest i nigdy nie była jedynym ani nawet głównym kryterium oceny dzieła literackiego. Zmiana osoby wypowiedziacza podlega za sobą wprawdzie generalną zmianę optyki pisarskiej, otwiera przed autorem nową przestrzeń, ale tylko od niego zależy, w jakim stopniu skorzysta z szansy jej opisu. W przypadku narracji pierwszoosobowej ma on charakter transformacji, natomiast użycie trzeciej osoby nosi znamiona deskrypcji zobiektywizowanej. Powyższe rozważania personologiczne stanowią jedynie rodzaj teoretycznej propozycji, praktyka zaś notuje niezliczoną ilość mutacji, często zupełnie zaskakujących i paradoksalnych.

Z takiej możliwości próbował chyba skorzystać Ryszard Binkowski, przedstawiając ostatnie chwile wioski położonej na terenie przyszłego Zagłębia Bełchatowskiego, bo inaczej nie sposób wytłumaczyć rozwoju pomiędzy dążnością do reporterskiego, uderzającego chłodem rejestracji, oglądu a nieskręwaną tęsknotą za odchodzącym pejzażem, wyrażaną nie tylko w partiach dialogowych. Zaangażowanie emocjonalne po stronie „eksmisjowanych” szczególnie jasrawo przejawia się we fragmentach ukazujących ustępowanie starego świata, wzmożonych — dodatkowo obrazem śmierci zantropomorfizowanej przyrody oraz tryumfu kaperek i buldożerów, bezdusznej kupy żelazta, ożywionej tylko na czas zmagania się z bezbronnym krajobrazem wiejskim.

Poprzeźdno starałem się uniknąć porównywania dzieł Binkowskiego z twórczością gigantów nurtu chłopskiego z powodu nieprzystawalności formatu artystycznego z podobnych przyczyn nie będę zestawiał „Eksmisji” z książkami penetrującymi temat Zagłębia Konieńskiego, z tym, że odwrotnie niż w pierwszym wypadku, powieść ta wyraźnie wybiła się na ich tle, odstaje na korzyść od produkcyjnej szarży i natrętnej tendencji do upatrywania awansu społecznego wsi w fakcie jej stopniowego przekształcania się w osiedle robotnicze.

Niezależnie od pewnych niedociągnięć warsztatowych, widocznych zwłaszcza w prowadzonej z dziennikarską skazą, rozgadanej i częstokroć niebezpiecznie ocierającej się o okliwiość narracji, pisarz nakreślił sugestywny rys obyczajowy małej, skłóconej społeczności. Trafnie oddał też atmosferę jej ostatnich wspólnych dni, wypełnionych konfliktami, nasilającymi się w takich chwila-

lach z wyjątkową ostrożnością. Nieco jednostronnie została wykorzystana w powieści sytuacja styku kulturowego, ponieważ siła tego zderzenia działa tylko w stronę wsi i to wyłącznie z negatywnymi skutkami. Rozwojowi wzajemnych uczuć między dwójgim młodych ludzi stała na drodze prócz wadliwych także domniemany romans dziewczyny z przybyłym na budowę inżynierem; z kolei miłość dojrzałej kobiety i niemłodego mężczyzny krepują więzy obyczajowe, przesadnie podejrzliwość otoczenia, pomawiającego ją o rozpustny tryb życia w mieście; wreszcie wątek kryminalny, pełniący tu rolę funkcjonalną, służebną w stosunku do koncepcji ideowej dzieła, ale mimo to mocno rozbudowany, urastający z punktu widzenia proporcji do rangi elementu pierwszoplanowego. Z zarzutu popełnienia zabójstwa usiłuje uchwilić zamordowanego brata człowieka, którego okoliczności zbrodni również uwikłały w skomplikowane śledztwo. W rzeczywistości zaś jest to walka o uratowanie dobrego imienia całej wsi. Kiedy zatem okazuje się, że sprawcą ohydnych morderstw jest przybysz, oczyszczona społeczność może odejść z godnością. Tak się jednak nie dzieje, ponieważ jej członkowie mają przed oczyma ponurą wizję blokowej egzystencji. „Jeszcze tylko soltyś pragme odejść stąd z honorem. Ale właściwie to on wygląda śmiesznie i żalobnie...” — mówi jedna z bohaterek utworu. Wszyscy bowiem opuszczają swoje domostwa w pośpiechu, unikając odwracania się i spoglądania wstecz. Towarzyszy im bolesna świadomość, że miasto zabrawszy przestrzeń, do której się tak bardzo przyzwyczaili, nie da w zamian nawet namiastki intymności. „Dlatego młodzi kochają się jeszcze w przeznaczonych do rozbiórki stodółkach, a starzy korzystają przed drogą po raz ostatni z drzewianych wychodków. Nawet przed tak drastycznym kontrastem nie cofnął się Ryszard Binkowski, w trosce o żywcem prawdopodobieństwo przedstawianych zdarzeń. Spostrzeżeniom pisarza należy przypisać bez wątpienia wysoką wartość socjologiczną. Gdyby rzeczywistość miała być jedynym referentem jego powieści, ocena wypadłaby bardzo dobrze. Niestety, pełnię i niekonsekwencje konstrukcyjne obniżają jej poziom, wywołują niedosyt czytelnicy. Dobrze, że książka broni się obecnością rzadkiego obecnie elementu — świetnego poczucia humoru, co rekompensuje te drobne usterki...”

## PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Ryszard Binkowski: „Eksmisja”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, s. 144, nakład 20 tys. egz., cena 75 zł.

# Fryzura Andrzeja Gruna

Fryzura nie jest naturalnym stanem naszego owłosienia — jest efektem zamysłu i pracy fryzjera, jest wykonana na nasze zamówienie... Andrzeju Grun, nazywając swój cykl „fryzury” — robi do nas przewrotnie oko: — Patrzcie, oto ludzie i ich sprawy przedstawione nie tak, jak wyglądają rzeczywiście. To nie zmierzwiłone strzechy nie mytych włosów, to fryzury. To ludzie nie tacy, jacy są, a jacy chcieliby być!

Gdybym układał kolejność prac Andrzeja Gruna w katalogowym wydawnictwie lub na wystawie, bezwzględnie zacząłbym od babci Kłozetowej, wykrykującej dramatycznie: „Ja też jestem człowiekiem pracy!”. Bohaterka tego rysunku domaga się, aby ją ufrizować. Domaga się, aby mieć status społeczny, a status społeczny, zaszerzowanie, umiejscowienie się na drabinie społecznej, toć to przecież już gombrowiczowska gęba... lub grunowa fryzura!

Przyznaję, że z kolejnością dalszych prac miałbym kłopot. Grun nie jest systematyczny, jego grafik nie ułożył w to, co recenzenci lubią nazywać „cyklem tematycznym”. Grun reaguje na świat spontanicznie i nawet nieco chaotycznie...

Dziwnie Poznałem go blisko 20 lat temu i byłem zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że

jest artysta. Był ubrany w nienaganny, szary garnitur, modną, choć nieekstrawagancką koszulę, dyskretny krawat. Starannie ogolony, pachnący lawendą. Młody człowiek o wyglądzie i manierach urzędnika.

Pozostał taki do dziś. Raczej unika alkoholu i kobiet o figlarnym usposobieniu, ubiera się z tą samą prostą, acz wyrafinowaną elegancją. Mówi raczej cicho, starannie dobierając słowa, bez epitetów i przejęskrawień.

Nigdy nie byłem w pracowni artysty. To bardzo dobrze, bo gdyby się okazało, że jest to skromny, gustownie umeblowany pokój, w którym wszystko leży na swoim miejscu, a plany od tuzi są starannie usuwane, nie miałbym klucza do fryzury Andrzeja Gruna. Teraz — choć może się głęboko mylę — mam ten klucz.

Pracownię Gruna wyobrażam sobie jak jaskinię zbójców mniej więcej. W niewyobrażalnym nieładzie porozrzuca najróżniejsze przedmioty, nie dojeżdżone resztki sera i wędliny, brudne szkło po napojach — wysokokowych najczęściej.

Grun — jak podpowiada mi wyobraźnia — wchodzi do tej pracowni przebrany się uprzednio. Składa starannie bieliznę, garnitur porządnie wieszka w szafie. Wichrzy włosy. Nie wiem, jak jest ubrany. Może w złączanionym kombinzonie z wypłowiałymi wypustkami typu „SP”. (Kto jeszcze pamięta ten skrót?). Może ma na sobie przepocony strój karateki? Może jest po prostu nagi, a ciało ma pokryte skudłoną rudą sierścią?

Jeszcze sprawdza swój wygląd w lustrze, jeszcze wylewa na siebie trochę jakiejś farby, bo okazuje się niedostatecznie zabrudzony. Wypija całą szklanekę zwykłej wódki, zagryza ogórkiem i salcesonem. Wydeje z siebie pomruki lub beknięcia i jest gotów...

Ten świat, taki uładowany i ufrizowany, ten świat, z którym na co dzień Grun jest pogodzony i nawet zżyty, potwornie w jego wizjach. Nienawidzi wszystkiego tego, co na co dzień kocha. Wyśmiewa się i drwi z tego, co na co dzień otacza delikatnym szacunkiem.

Jest gotów. Gotów do pracy. Do Walki? Ze Wszystkim O Wszystko...

Kiedy nienawidzić i złowroga litosc nad rzeczywistością osiąga należyte stężenie, Grun rysuje.

Szybko, starannie, od niechocenia jakby, rysuje grubych, niekształtnych głupców. Złe, nieczyste kobiety. Szklucie wstrętne, nieestetyczne wnętrza (rzadko!), paskudne, wynaturzone rekwizyty (często!).

Potem jest zmęczony. Bierze prysznic, przebiera się w swój zwykły strój, przybiera na twarz swój zwykły, nieco obojętny uśmiech. Wymyka się z pracowni chyłkiem, jak chłopak, który podgląda panie w damskiej łaźni. Biegnie do miasta, do kawiarni, do schłodzonego mieszkania kogoś z przyjaciół, na odczyt literacki do Biblioteki Uniwersyteckiej — nie wiem, może nawet do kościoła...

Chętnie i długo rozprawia z kimś o sztuce i moralności, o wolności człowieka, ochronie przyrody... Mówi sporo, bystrzy erudycja, ale nie wygłasza poglądów skrajnych — jego elegancja intelektualna nie pozwala mu na ekstremizmy myślowe. Jest zwolennikiem intelektualnych kompromisów, złotego środka, tolerancji, tolerancji i jeszcze raz tolerancji...

Wróćmy do początku mego wywodu. Wróćmy, żeby znaleźć jego zaprzeczenie: Grun z nas kpi. To nie są fryzury, to są normalne, skudłone łby naszych bliźnich!

Ufrizowany jest Grun. On, uroczy, wykształcony człowiek frizuje się na jaskiniowca. To jest właściwa interpretacja „fryzur”. Intelek-

tualny „punkizm” człowieka, który na co dzień jest zaprzeczeniem „punka”. Przewrotny, gwałcący własną naturę autohipnotyzer, który na specjalnych seansach wywraça na nice własną osobowość ludzką i twórczą.

## ANDRZEJ KAROLCZAK



Marzec 1945 roku. Zdobywałem dziennikarskie ostrogi w dziale literackim „Głosu Ludu”. Redakcja mieszła się wówczas w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 88. Patronował mi Andrzej.

Na zachodnich rubieżach Polski toczyły się jeszcze krwawe zmagania z Niemcami.

Któregoś dnia Andrzej zaproponował mi wspólną reporterską wyprawę w poszukiwaniu śladów Emila Zegadłowicza. Zgodziłem się bez namysłu. Czekała mnie fascynująca przygoda, wiedziałem bowiem, że Andrzej jeszcze przed wojną, jako młody poeta, był związany osobliwie z autorem „Zmór”.

W drogę wybraliśmy się o pajdce chleba, z perspektywą podróży wszystkimi dostępnymi środkami komunikacji. Kierownictwo redakcji wyposażyło nas jedynie w delegację służbową i błogosławieństwo.

Do Tuszyńa dotarliśmy jakąś przygodną furmanką. Stamtąd do Piotrkowa zabraliśmy się wojskową ciężarówką, której kierowca przyjaźnie nas potraktował, widząc jak brodzimy w śniegowej bryli, środkami zosy, byle naprzód. Z Piotrkowa rozklekotanym po ciągiem dotelepaliliśmy się do Sosnowca, celu naszej podróży.

Andrzej wiedział, że Emil Zegadłowicz zmarł w Sosnowcu w lutym 1941 roku. Domniemywał, że tam właśnie został pochowany.

W czasie podróży wiodł mnie meandrami zegadłowiczowskiego życia i twórczości, odkrywając osobowość pisarza, jego poetycką wizję, prezentował recytując wiersze. Szkiełował wizerunek autora przeszło stu książek, z których ja znalazłem tylko „Zmory” i „Motory”. Z tej nikłej znajomości dzieł Zegadłowicza wytlumaczył mi sam Andrzej, stwierdzając, że nie powinienem zbyt głęboko brać do serca mojej niewiedzy, ponieważ bibliofilską mania Zegadłowicza także się do niej przyczyniła. Wydawał często w bardzo niskich nakładach, dla przyjaciół, numerowane egzemplarze, ale z dużą troską o graficzny kształt; nierzadko poszczególne tomiki ukazywały się na czerpanym papierze.

Wspominał Andrzej: Zaproszenie do Gorzenia przyszło w samą porę. Perypetie, jakie mnie spotkały, związane były z wspaniałym w lewicowym kółku szkolnym. Zostałem nie tylko wylany z gimnazjum, ale musiałem wyemknać się z miasta.

Wtedy, a działo się to w latach trzydziestych, dom jego emnencji, jak nazywał Zegadłowicza jeden z przyjaciół, stał się oazą i azylem dla wielu znaczących i mniej znaczących w polskiej kulturze ludzi. Kto tu nie przebywał? Ziota „Księga gości” pęczniała od wpisów różnych znakomitości z „lewa” i z „prawa”: Leon Kruczkowski, Wanda Wasilewska, Gustaw Morenek, Adam Polewka, Stefan Zechowski, Marian Ruzamski, Jerzy Zawieyski, Jan Lorentowicz, Stanisław Stwora, Rafał Małczyński, Walery Goetel, Wacenty Bałys, uczeń Dunikowskiego, młody poeta chiński Józef Stożek, że wymienić tylko niektórych.

Biblioteka ciemna i pachnąca starymi foliarami miała dwa okna. Jedno wychodziło na park, zacieniony i porośnięty wysoką trawą, drugie — na zbocze góry, pod którą nocami przetaczał się księżyc i gdzie, właśnie na zboczu Grodziska, Zegadłowicz żył sobie spoczając... na wieki.

Kiedy wiatr nocą poruszał konarami dębów i wiązów wydawało się, że dookoła „kamiennego dworu” odbywa się jakiś antyczny spektakl, kreowany przez bohaterów jego mitologicznych poematów i dramatów.

Andrzej snuł opowieść, gdy tymczasem pod nami stukwały na złączach szyn koła zdezelowanego pociągu lub szumiała szosa prasowana oponami samochodu, pozostawiającymi w zmarzniętym śniegu rzeźbę bieżników.

Goście gorzeńskiego domu tego pamiętnego lata 1937 roku spotykali się zwykle wszyscy dopiero przy obiedzie w ogromnej jadalni, mieszczącej się na drugim piętrze, po lewej stronie domu.

Na ścianie będącej galerią obrazów Misky'ego wisiała tablica, na której przybiłto się utwory dnia. Zechowski — rysował. Ruzamski — pisał. Pojawiały się także utwory Kruczkowskiego, który w Gorzeniu pisał „Sida”. Taką gazetą domowa. Dostarczała także sporo uciechy. Choćby tylko z powodu fraszek Ruzamskiego, np.: „Zachowawca, ażeby uniknąć postępu, nie pociągnął za sznurek wychodzący z ustępu”. Parę z tych fraszek Tuwim zamieścił potem w „Czterech wiekach...”.

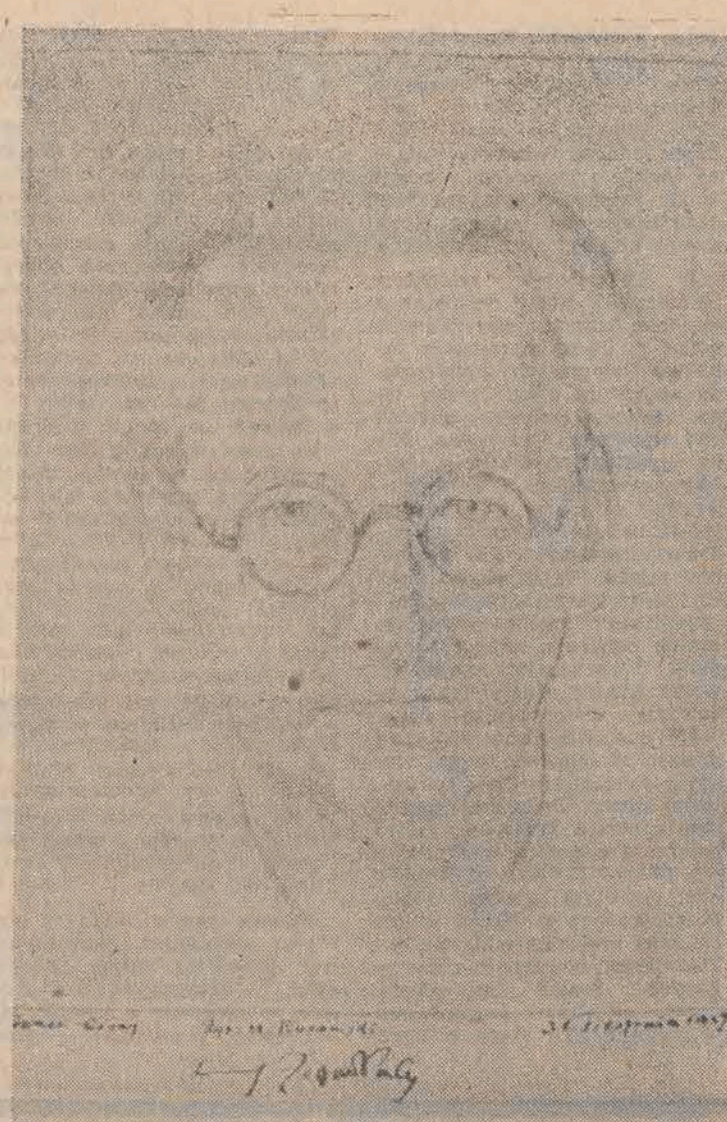
Po obiedzie gadanie — dwie godziny — o wszystkim. Listy, które przychodziły do gospodarza (prowadził rozległą korespondencję) były czytane publicznie. Odpowiadał na nie Zegadłowicz — rzecz jasna — o sobie.

Łatwo przyszło wsiąknąć w klimat Gorzenia. Biblioteka liczyła kilkanaście tysięcy tomów. Książki stare i nowe. Zatapałem się w nich na długie godziny. Na ścianach obrazów: Krzyżanowski, Vlastimil Hofman, Misky, w innych pokojach — kilkanaście Noakowskich, kilka pejzaży Stanisława Wyczałkowskiego, Bożnańska, Pruszkowski, Pronaszko. Ze starych mistrzów — Dolabella.

— Wiesz dlaczego o tym opowiadał? — z nagłą zapytał Andrzej i od razu odpowiedział: — Bo stoi mi przed oczyma ten dom, zachowany w pamięci ze szczegółami i chciałem go odnaleźć takim jaki był.

Kilka dni tego pamiętnego lata porządkiem rękopiśmiennymi skarbami gorzeńskimi — snuł dalej opowieść Andrzej. Przepaściście biurko i kuferek olbrzym pełne były listów. Segregowałem alfabetycznie w tezkach. Tetmajer, Kaspro-wicz, Staff, Lesmian, Reymont, Żeromski, listy Skamandrytów i autorów przynależnych do najrozmaitszych grup poetyckich, listy od muzyków, malarzy, wybitnych aktorów. Osobną tezkę mieli czescy poeci i tłumacze — przyjaciele pisarza: Brzezina, Kvapil, Zava-da, Halas... nie pamiętam jacy jeszcze.

Zegadłowicz był bibliofilem. Gromadził białe kruk, unikał i starości. Zdobyczał je nie-



## Wpis do księgi

RYSZARD KLIMCZAK

raz w sposób niezwykle prze-myslny. Wśród rękopisów znajdowały się nie drukowane utwory Przybyszewskiego, Mi-cięńskiego a nawet parę luźnych rękopisów Adama Mickiewicza.

Ciekawostka. W gorzeńskiej „księdze gości” znakomity Za-chowski narysował zwykłym szkolnym ołówkiem portret Wandy Wasilewskiej, dla upamiętnienia jej pobytu w Gorzeniu. Bywał tu Aleksander Kubicki, ale co ty o nim wiesz?

Istotnie, nic nie wiedziałem. Była jeszcze jedna, miejscowa, charakterystyczna osobistość — znakomity rzeźbiarz, powinno go beskidzki, Jędrzej Wowra, a właściwie — Wawro. Tuż koło bramy prowadzącej do parku okalającego zegadłowiczowski „kamienny dwór” wila się Młynówka. Mieszkał nad nią w starej ruderze ten ludowy artysta.

Przychodził często. Niósł zwykłe listy, które docierały do niego z różnych stron, z Warszawy, Wilna, ale także z Nowego Jorku i Kanady. Aż tam dotarła sława „świętarkarza”. Niósł te listy, aby mu Zegadłowicz przeczytał, a także na nie odpisał.

Gorzeńska „świętarkarna” z wytworami fantazji rzeźbiarza Wowry... Na półkach stały niezliczone figurki „wszystkich świętych”, kapliczki, zwierzątka, ptaszki. W tych listach Zegadłowicz najczęściej odczytywał prośby: Kochany Jędrzeju wystrugajcie mi „Frasobliwa”. No i Jędrzej strugał. Artysta tak nieprawdopodobnie „beskidził”, że nikt z nas nie mógł go zrozumieć. Jedyne Zegadłowicz rozumiał wszystko. Rozumiał, jak chyba nikt inny, także twórczość Wowry.

Historia tego domu? Mieściła się w nim kiedyś karczma. Zakupił ją ojciec Emila. Przystosował na dom mieszkalny. Pan Tytus pochodził spod Lwowa. Po wydarzeniach Wiosny Ludów emigrował z Polski na południe i powrócił po dwudziestu latach. Osiadł w Wadowicach jako nauczyciel gimnazjum. Kochał muzykę i ogrody. Stąd tyle okazów flory w parku gorzeńskim.

W jednej części domu, po drugiej stronie sieni, mieściła się gotycka kaplica — najstarsza część budynku. Ojciec matki Zegadłowicza, stary Kajsar, był organistą w Kalwarii Zebrzydowskiej. Poeta poświęcił mu piękny poemat: „Budziejowickie łaki”. Kajsar pochodził z czeskich Budziejowic.

W sieni „kamiennego dworu” o gotyckim sklepieniu znajdowały się przy schodach dwie maski diaba Bałysa. Diabeł tragiczny i diabeł melancholijny. W światłocieniach kolorowej latarni podwieszanej u

stropu sprawiał niesamowite wręcz wrażenie.

Oprawa w skórę księga gości znajdowała się w centralnym miejscu — w „świętarkarni”.

Ale poetę zżerała już wtedy choroba — ulcus duodeni — bo nikt nie zdawał sobie sprawy, że to, jak się później okazało — nowotwór. A teraz jedziemy szukać drugiego, wiecznego już, domu pisarza.

W końcu lata 1937 roku Zegadłowicz musiał poddać się zabiegom lekarskim i leżał w Hotelu Polskim w Krakowie. Zjeżdżali tu przyjaciele. Pokój tonął w kwiatkach. Odwiedzał go Jan Wiktor i Ludwik Solski. Tymczasem w gorzeńskim domu podczas nieobecności pisarza było pusto i głucho.

Wiosną 1938 roku, po licznych i nieudanych zabiegach o założenie w Wadowicach drukarni, Zegadłowicz zaczął interesować inne sprawy. Pomysł drukarni upadł. W lipcu Zegadłowicz znikł z Gorzenia. Jak się okazało, wylądował w Plocku. Podróżował po całej Polsce z odczytami wraz z przyjaciółką — Marią Koszyc — o czym donosiły gazety. Planował wyjazd do Kanady, gdzie żywo interesowano się jego twórczością. Wybuchła wojna.

Sosnowiec. Długo kluczyliśmy tamtego marcowego dnia po ścieżkach cmentarza. Spotkanych przygodnie ludzi pytałyśmy o grób Zegadłowicza. Doremnie. Nikt nie słyszał, nie znał. Andrzej wygrzebał w pamięci adresy dawnych znajomych. Kołatanie do drzwi. Obce twarze. Niemiec troglodyci mordowali, grabili, wysiedlali, przesiedlali, przemierzali z miejsca na miejsce. Chwila rozmowy i szukać trzeba dalej po omacku. Odwiedziliśmy dwie lub trzy parafialne cmentarze. Bez rezultatu. Wreszcie w Miłobadzu, na skraju Sosnowca. Kancelaria cmentarza otwarta. Pierwsze informacje. Złapałszy trop. Aleja... kwatery. Jest. Zapomniany, opuszczony grób, bez tabliczki. Autor „Martwego morza” wyznał kiedyś: „... Kiedyś, gdy me odeszcie zrozumiesz do głębi, gdy pamięć o mnie żywym załł się ogniskiem — myśl się twoja kurczowo o moją zębę i zateskniesz do mojej mej, jak za czymś bliskim. I zamptasz kim byle n kim będą, kim jestem, jaka po mnie melodia i słowo zostanie”.

Trwała jeszcze wojna. Kto miał pomyśleć o grobie jedne-

go Poety, gdy milionami grobów zmogiono Ziemię?

Andrzej mrucał strofy „Budziejowickich łak”. Po latach przeżywałem jeszcze raz fragmenty poematu — słuchowisko emitowane w warszawskim radiu, z cudowną ilustracją muzyczną, w obsadzie znakomych aktorów, z których paru już dzisiaj nie żyje. Ale najbardziej pamiętam to mrucając Andrzeja, wtedy, nad mogiłą Zegadłowicza w Sosnowcu.

— Niemcy — mówił Andrzej — znaleźli się w Wadowicach i Gorzeniu w pierwszych dniach września. Kilka tygodni później wytrasowali „granicę” między Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem, na Skawie. Granica przebiegała więc kilkaset metrów od domu Zegadłowicza. Tymczasem dom, najokazalszy chyba w okolicy, stanowił dogodne miejsce kwaterywania zmieniających się sztabów. Porządkami i opróżnianiem izb zajmowała się grupa zgonionych do pracy robotników-Zydów. Sztaby nie interesowały się przedmiotami wypełniającymi pokoje, nie pilnowały dobytku. Tak więc obrazy, meble, sprzęt domowy ratowano oddając na przechowanie do sąsiadów, miejscowych gospodarzy. Ocalało niemal wszystko z wyjątkiem księgozbioru. Zagarnęli go Niemcy.

Olgierd Terlecki, pisząc o potrzebie powołania Muzeum Zegadłowicza w „Życiu Literackim”, bodaj w 1936 roku, z żalem stwierdza, że... „najbliższą rodziną nie ma dziś nawet połowy kompletu utworów pisarza, a poszukiwania utrudnia okoliczność, że sporo książek Zegadłowicza ukazało się w bibliofilskich numerowanych nakładach”.

Coś jednak zachowało się i to coś mogłoby stanowić załżek dominium pisarza. Raz po raz powstawały z błęgiem dziesięcioleci różne komitety, także z udziałem ministrów. Raz po raz kreowano różnych opiekunów i animatorów. Zajmowało się spuścizną po pisarzu Ministerstwo Kultury i Sztuki, PTTK, wydziały kultury rad narodowych w Wadowicach i Krakowie, Związek Literatów, zainteresowane byki PZPR, SL i SD. Gazety i tygodniki opisywały i fotografowały. I co? Nic. Ze stery protokołów, postanowień, oświadczeń wylania się dziś apokaliptyczna wizja.

Zatoczyłem koło. Ogromne koło w czasie i przestrzeni, jeśli się zważy, że dla życia człowieka czterdzieści lat to kosmiczny wymiar. Po blisko czterdziestu latach, w czerwcu 1984 roku, znalazłem się ponownie w towarzystwie Andrzeja blisko Zegadłowicza. W jego domu. Niestety, podobnie jak w Sosnowcu — nad grobem Sian, w jakim znalazłem ten dom do niczego innego bowiem przystosować niepodobna. Ruina. A miało być muzeum.

Weszliśmy przez rozwalającą się bramę na teren nie ogrodzony, nie pilnowany. Wykopy, rozkopy. Bezpańska ciężarówka z otwartą kabiną kierowcy. Numery rejestracyjne Bielska-Białej. I psa z kulawą nogą. Nie. Pies jest. Mocnym łańcuchem uwiązany przy budzie. Szczeknął na nasz widok. Tą ciężarówką można by wywieźć wszystko, co znajduje się na podwórku i jeszcze nadaje się do użytku. Materiały

budowlane. Żadnej tablicy informacyjnej. Kto remontuje? Kto nadzoruje „odbudowę”?

Próbujemy się dowiedzieć. Sąsiedzi nic nie wiedzą. Jest sobota, w Wadowicach urzędy pozamykane. Mieszkańcy, indogowani na chybił-trafił chociaż Gorzeń jest dzisiaj przedmieściem Wadowic — nie wiedzą gdzie leży Gorzeń i czym jest dla polskiej literatury. A do domu pisarza prowadzi najdłuższa chyba ulica Wadowic, właśnie ulica Emila Zegadłowicza. „Pytał pan w Bielsku, albo w Krakowie. Jakby pojechał do Warszawy, może by tam wiedzieli”.

Tajemnica. Ścisła tajna budowa. I wlecz się nieskończennie.

Mógłbym to co napisane zacząć identycznie jak Stefan Essmanowski w „Wiadomościach Literackich” w 1932 roku, w reportażu pt. „Ariański zbór i żydowski świecznik”: „... Z trudem przebrnąłem podwórte zawałone murarskim sprzętem, belkami i tramami”, tyle tylko, że Zegadłowicz doprowadził wówczas dom do użytku z godną podziwu, jak na jego modelową nieporadność, pieczołowitością.

Żeńca, koszący opodal trawę: „Kto to słyszał, panowie, żeby tak budować. Marnotrawstwo i wyrzucanie milionów w błoto. Taniej by się kalkulowało zawałić zmurszałe ściany i postawić nowe. Przecież Starówkę w Warszawie postawili od nowa i nic nie straciła na wartości i urodzie”.

Może żeńca ma rację? Za chwilę spróbuję tę rację uzasadnić.

Dach zawałił się do wnętrza. Na otwartym, nie osłoniętym przed deszczem tarasie, podpartym kruszącymi kolumnami — piec. Piękny secesyjny piec wiedeński beztrósko podany korozji, za który Zegadłowicz wyłożył całe honorarium za drugie wydanie „Zmór”.

Jak zmora nęka mnie teraz po nocach widok zniszczenia i zaniedbania. Marzę o tym, żeby się przysięgło komu należy, aby w domu Zegadłowicza utworzonym z należytym pieczytmem, jak za dawnych lat, powstało muzeum pisarza. Istnieje sprzęt, obrazy, osobiste przedmioty, (mam nadzieję, że to zostało skatalogowane i zabezpieczone po wykupieniu posiadłości od rodziny przez państwo), istnieje dokumentacja opisowa i ikonograficzna, można też sprowadzić książki i przedmioty rozproszone (dowiedziałem się przypadkiem, że część oryginalnych drzeworytów Jędrzeja Wowry, które zdobył dom Zegadłowicza, eksponuje muzeum w Bytomiu lub Gliwicach?), otworzyć szero ko dla turystów, dla publiczności, dla młodzieży drzwi zegadłowiczowskiej pamiętkarni.

Emil Zegadłowicz miał być ekszhumowany i pogrzebany ponownie pod Grodziskiem, opodal swego domu. Taka była jego wola. Nie wiadomo dlaczego ekshumacja nie doszła do skutku. Dlaczego? Postawilibym obok jego grobowca dwa (trzeci bowiem zniknął) posągi z gorzeńskiego ogrodu: Flory, Caritas i Sofii. Taki tytuł nosił tomik poezji, wydany w Poznaniu w 1928 roku, w drukarni Fiszera i Majewskiego.



Portret Wandy Wasilewskiej narysowany przez Stefana Zechowskiego 16 lutego 1937 r. w czasie jej pobytu w Gorzeniu.



Schody w sieni z rzeźbą diabła diaba W. Bałysa.

**M**arzyliśmy nam się podróż do San Marino, choć powiadają, że to grzech być w Rzymie i nie widzieć papieża. Do Rzymu jednak było zbyt daleko, no i lirów na dodatkowe opłaty wizowe nie starczyło, a po dzień czy nawet dwa, to na stolice Imperium Romanum stanowczo za mało. No więc gdzie? — zastanawialiśmy się uparcie, jakby było nam mało jazdy w ciasnym maluchu.

Uzgodniliśmy z sąsiadami, że pojedziemy dwoma samochodami do Florencji, zaliczając po drodze plażę w Lido di Nacion i Rawenne. Nawet nie przyszło nam do głowy, że wyjeżdżając w niedzielę rano, wrócimy do Fusiny nazajutrz o świcie.

## RAWENNA

Niedaleko za Wenecją w drodze do Chioggia oglądaliśmy zruiny inne Włochy niż w okolicach Triestu czy Monfalcone. Nie ma tu plaż, wspaniałych promenad nadmorskich ani też will schowanych w cieniu agaw, palm i cyprysów. Tu jest już włoska prowincja: lany kukurydzy, lasy niezimnych sady z równymi rzędami drzew, bez śrółki, chiopskie domy z kamienia (niektóre z nich zaniedbane, opuszczone, z zabitymi oknami i walącym się dachem). Smutno, równo, jednostajnie. Tędy, od strony wschodniej Lombardii wdarli się do Imperium Wyzwoli, lud germański, który w III w. osiedlił się nad Morzem Czarnym. Przegnany przez Hunów zawędrował aż na kresy Cesarstwa, aby w roku 410 zdobyć i zupić Rzym. Ale najpierw szukali nowej ojczyzny tutaj, w tej równinnej, jednostajnej, bagnistej krainie.

Za Chioggia przejeżdżamy Adygę. Rzeka ta bierze swoje źródła spod masywu Palla Bianca w krainie wiecznych lodów, aby następnie zasilić swój nurt w jeziorze Resia, leżącym u styku granic włoskiej, szwajcarskiej i austriackiej w Alpach Retyckich. Kilkanaście minut później wjeżdżamy w krainę delty Padu. Mnóstwo tu rzek, rzeczek, kanałów i starorzeczy. Za Contarine przejeżdżamy Pad, najdłuższą rzekę Włoch, bardzo szeroką w tym miejscu. Ciekawe, czy w tym samym miejscu co my, przepływały się zagony Teodoryka ciągnące na Rawennę?

W samo południe zatrzymujemy się w Lido di Nacion. Na miejscu jest upragniona piaszczysta plaża i morze. Dno nieco mulliste, jak w jeziorze, woda przez to nieco mętna, ale zaskakująco bardzo ciepła. Plaża jest darmowa, ale z kocykiem na piasku biwakować nie można. Należy obowiązkowo wykupić leżak pod parasolem, tłumaczy nam szef plaży. Udajemy, że nic nie rozumiemy i powtarzamy uparcie w dialekcie Alego: Non capire... Facet rezygnuje, a my się dalej opalamy, bo jak tu błędem wrócić znad Adriatyku...

Rawenna nieco mnie rozczarowała... A więc to jest ta słynna Rawenna: od 402 roku rezydencja cesarzy zachodniorzymskich i miejsce schronienia tych spośród nich, którzy musieli opuścić Rzym; stolica egzarchatu raweńskiego (posadźci bizantyjskiej w Italii), no i słynny gród państwa Teodoryka Wielkiego. Tędy samemu, który w 493 roku opanował północną i środkową Italię, obalili Odoakra i zagrozili Rzymowi. Dziś z dawnej świetności pozostały jedynie mauzoleum Galii Placydy (V w.) i Teodoryka, grobowiec Dantego i ruiny zespołu pałacu wizygockiego króla i wodza przy Via Rocca Brancaleone. Za ocalałymi kamiennymi murami jest dziś romantyczny park.

Była akurat pora sjęsty. Miasto było senne, puste, wyludnione, prowincjonalnie smutne. Widać los obchodzi się z miastami nie bardziej łaskawie niż z ludźmi. To, co ocalało w zawirusze dziejowej — ruiny, kamienne cmentarzyska mówią już w zasadzie niewiele. To tylko strzępy dawnej świetności, która przetrwała w mitach, legendach, przypowieściach. Trzeba wielkiej wyobraźni historycznej oraz wiedzy, aby z tych szczątków ułożyć w pamięci mozaikę dawnej świetności we wszystkich jej barwach, odcieniach i przelotnych kształtach.

## FLORENCJA

Zaraz za Rawenną lasy piniowe, niskie sosnowate drzewa o płaskich koronach, w kształcie kielicha. Ich nasiona, tzw. piniolki są ponoć jadalne. Im bliżej gór, tym więcej, na stromych pagórkach, w zagłębieniach dolin smukłych, wyniosłych cyprysów. Jedziemy doliną rzeki Lamone przez Faenzę i Brisighellę. W okolicy Brisighelli wzgórza Apeninów przędko rosną, ale ich szczyty są wciąż łagodne, kopulaste. Tu i ówdzie zamki lub ich ruiny i konkurujące z ich wieżami cyprysy. Południowe trawiste stoki są żółte niczym step wypalony słońcem. Ale lasów coraz więcej. Najwyżej pną się pnie, poniżej dominują podobne naszym sosny i lasy mieszane.

Za Brisighellą zatrzymujemy się, z zamiarem, że tylko na chwilę: odpocząć, porobić kilka zdjęć, zobaczyć stary kościół. „Zmarudziliśmy” dobrą godzinę. Kościół di S. Giovanni Battista in Ottavo pochodzi w aktualnym kształcie jego murów z IX w. Wspiera się zaś na fundamentach budowli o wiele wieków starszych. Ocalały m.in. spore fragmenty budowli sakralnych z czasów longobardzkich i rzymskich. Odcisnęły tu także swoje piętno wpływy bizantyjskie. Tędy wszystkiego dowiedzieliśmy się od tutejszego, niezwykle sympatycznego proboszcza, zwiedzając podziemia „pieve” z licznymi pamiątkami archeologicznymi. I tak przystając na chwilę, dla odpoczynku, odbyliśmy odległą w czasie podróż do epoki panowania Cesarstwa, najazdów germańskich i ponoszenia się Bizancjum w Italii. Fragment kamiennej mozaiki wyniesiony z Pompei i złożony — nie wiedzieć czemu — tutaj, przywiódł na pamięć znane z lektur obrazu tragedii spod nieokreślonego Wezuwiusza.

W okolicach miasteczka Marradi góry coraz wyższe. Pasma Toscano dostarcza wielu wspaniałych, niezapomnianych widoków. Apeniny porośnięte po same szczyty, choć nie brakuje rozległych pól, pastwisk, odsoniętych przełęczy, skalnych pułk. Droga coraz węższa, coraz bardziej kręta, wciąż uparcie pnie się pod górę. Mijamy z rzadka rozlane wzdłuż drogi miasteczka i górskie wioski. Uliczki w nich

jeszcze węższe niż szosa, bardzo ciasne, zabudowane po obu stronach. Odnosi się czasami wrażenie, że przejeżdżamy przez wąwózko. Mały, nieregularny placyk, to rynek ocieniony bryłą kościoła i rzędem cyprysów. Przy nim knajpka a przed nią dwa, trzy stoliki okupowane przez starych mężczyzn ubranych na czarno.

Wreszcie zjeżdżamy w dół do Borgo S. Lorenzo, pięknie położonej miejscowości uzdrowiskowej u podnóża Apeninów. Góry kończą się tu nagle i otwiera szeroka, płaska dolina jak w okolicy Samokowa u podnóża Rily. Tędy, że krajobraz inny: góry mniej postrzępione, szczyty łagodniejsze, zbrocza zalesione, a wzdłuż drogi — cyprysy, podobne bardzo naszym topolom, gdy rzędem rosną, blisko siebie. Florencja oglądana z okolicznych wzgórz jest niezwykle piękna, ale już po zachodzie słońca i ze zdjęć pewnie nie nic nie wyjdzie. Parkujemy przy Via Bolognese u wydołu na Piazza d. Libertà. Przechodzimy pod podwójnym żółtym i ulicą równoległą do Via Cavour podążamy w kierunku zabytkowego centrum. Jest już wieczór, a wkrótce noc. Trochę białym

## KAROL JÓZEF STRYJSKI

# Podróż do grodu św. Marka

dząc trafiamy wreszcie na Piazza d. Duomo, pod katedrę.

Kościół florencki były, jakbyśmy to dziś określili — inwestycjami projektowanymi bez liczenia się z możliwością ich realizacji. Stąd wiele z tych wnętrz wielkich i wspaniałych, nie zdołano naleźćc odobit. Podobny los spotkał wspaniałą gotycko-renańsową katedrę florencką, która niewiele ma sobie równych w Europie. Bryła katedry jest wprost kolosalna, a zarazem w proporcjach i kształcie doskonała i urzekająco piękna. Sporo czasu trzeba stracić, aby ją obejść, a jeszcze więcej, aby się nią nacieszyć.

Florencja nazywana była przez Dantego „najpiękniejszą córką Romy”. Jest także jednym z najstarszych włoskich miast. Została założona w 59 r. p.n.e. jako kolonia rzymska na gruzach miasta etruskiego, zaś Machiavelli pisze, że powstała z małego miasteczka Fiesole, które leżąc na górze, wybrało sobie u jej stóp, nad rzeką Arno miejsce na jarmarki. Potem zbudowano tam magazyny, domy kupieckie i całe miasto. Do Fiesole cesarze rzymscy wysyłali kolonów, aby się tam osiedlili. Była potem, od XI wieku Florencja samodzielną republiką rządzoną przez oligarchię (Medyceusz), a w drugiej połowie XV w. ośrodkiem kulta-

ralnym włoskiego odrodzenia oraz w latach 1865—1871 stolicą zjednoczonych Włoch.

Jest już sporo po północy, kiedy trafiamy wreszcie ponownie na Piazza d. Libertà i wracamy przez Bolonję, Ferrarę i Padwę do Fusiny. Nad laguną wstawał dzień, gdy chowałam się w namiotach, aby choć trochę się przespaciać póki nie wygoni nas z nich słońce.

## CIAO ITALIA...

A więc ruszamy w drogę powrotną — via di ritorno. Trochę żal. Trochę smutno, ale i za domem już tęskno. No, i co tu ukrywać, waluty coraz mniej.

Wczesnym popołudniem jesteśmy w Triście. Jakże wspaniała, niepowtarzalna jest panorama miasta i zatoki oglądana z szes od strony Sistiany. Góry schodzą tu, a właściwie spadają wysoko, urwistym brzegiem wprost do morza. Stalki i żaglówki w dole wyglądają jak zabawki. Hen daleko, za mgłą skrywa się Wenecja, jak na obrazach starych mistrzów. W

kupy przez miedzę, do tańszej Jugosławii i na urlop do pięknych i (dla dich) nie tak w drogich miejscowości wypoczynkowych na Istrii. Na twarzach wielu przechodniów jest coś ze słowiańskiej urody. Zresztą nie brak i Jugosłowian, pracują tutaj. Dziewcząt w Triście są ładniejsze niż w Wenecji czy Florencji i nie gorzej od swoich kolegów lawirują na skuterach czy motorowerach pomiędzy autami na zatoczonych do granic możliwości ulicach tego miasta.

Spostrzegamy autobus z jugosłowiańską rejestracją. Postanawiamy się go trzymać. Mammy szczęście — wyprowadził nas do Skofje, do samej granicy. Tu odprawa trwa krótko. Celnicy jugosłowiańscy pytają nas jedynie o komputery i aparaturę video. Wszystko, tzn. odprawa celna i paszportowa odbywa się bez wysiadania z samochodu. Szybko, sprawnie i grzecznie.

## ISTRIA

Istria, to półwysep kształtem przypominający serce. W przewodnikach określana jest często jako: „kraina piaszczystych plaż, zielonych wysepek, malowniczych wiosek i starożytnych miast (...) kraj o łagodnym klimacie i uroczych zakątkach”. Myślę, że wszystko to prawda, chociaż my wędrując po Słoweńskim Wybrzeżu, nie mieliśmy szczęścia trafić na piaszczystą plażę. Ostatecznie zatrzymaliśmy się na kempingu w Kanegrze na zachodnim, skalistym wybrzeżu Zatoki Piranckiej. Plaża tu kamienista, za to woda niewiarygodnie czysta i prawie tak samo ciepła jak we włoskim Lido di Nacion. W każdym razie, pomimo kamieni, kąpiel jest tu wielką przyjemnością. Cóż, jak za każdą przyjemność trzeba płacić, w Kanegrze za dobę prawie dwadzieścia marek za trzy osoby, namiot i samochód. Poza sezonem jest oczywiście taniej. Poznany Słoweńiec z Ljublany mówi, iż przyjechał tu rokrocznie — już w maju stawia przyczepę i stoi ona aż do końca września. Spędza w Kanegrze urlop i wszystkie weekendy.

Tylko zdążyliśmy postawić namiot i usiąść do na prędcie upieczonej kolacji, a zapadł zmierzch. Sąsiedzi Słoweńcy wraz z żoną dosiedli się, dostawiając do naszych moreli butelkę dobrego, słoweńskiego wina. Zrazu rozgadzaliśmy się na dobre. Słoweński i polski są językami bardzo do siebie zbliżonymi, więc rozumielśmy się bez większych kłopotów. Sporo dowiedzieliśmy się o problemach współczesnej Jugosławii. I u nich, podobnie jak u nas, kryzys daje się coraz solidniej we znaki. My na szczęście nie mamy tych problemów narodowościowych i społecznych, co nasi południowi pobratymcy, a będących dalekim echem pogmatwanych dziejów narodów Federacyjnej Jugosławii. O Polsce nasz nowy znajomy wiedział sporo i na bieżąco, choć żalował, że jeszcze nie był w naszym kraju. Nie obeszło się więc o toasty za „polsko-jugosłowensko priateljstvo”. Sve najbolje — życzyliśmy sobie rozstając się niemało po północy.

Rano nad zatoką dość długo wisiała mgła. Powoli wyruszał się z niej Portoróz z dużą plażą, położony wśród pięknej subtropikalnej roślinności oraz sąsiedni, usadowiony na skalistym, stromym spadającym w morze cyplu Piran, zwany przez Słoweńców „małym Dubrownikiem”. Jeszcze dalej na wschód, za cyplem leży rybacka Izola. Jadąc do Kanegry zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę tuż przy rybackim porcie. Na portowym placu mieszkańcy się mowy i wpływy. Jest w miasteczku pałac Lovisato z oknami w stylu lombardzkim i piętnastowieczny pałac Manzoli w stylu weneckiego gotyku. Nic dziwnego jeśli uznaliśmy sobie, że Izola, dostała się pod weneckie panowanie już w 1280 roku, a potem dzieliła los całej Istrii. Sąsiedni Koper, największe miasto Słoweńskiego Wybrzeża, jest większy i starszy. Założone jeszcze przez greckich kolonistów osiedle nosiło nazwę Egida, za czasów rzymskich — Insula Capraria (Kozia Wyspa). Przybyli tu w VIII wieku Słowianie nazwali osiedle Koper. I tak zostało do dziś.

Znów w drodze. W piekielnym upale przebijamy się krętą, ale dobrą drogą przez góry Cickdarja i Kras. Góry piętrzą się coraz wyżej, powoli znika las a pojawiają się nagie, wapienne bloki skalne o ostrych zboczach. Wreszcie na Senozee zjeżdżamy w dół. Z prawej wznosi się wielka, skalista kopuła masywu Nanos. Zbliżyliśmy się do początku autostrady. Zjeżdżamy z niej, aby zwiedzić groty w Postojnej.

Dziwna to, piękna i tajemnicza kraina ten jugosłowiański Kras. Wody rozpuszczając wapienną skałę wyrzeźbiły w niej fantastyczne kształty. Rzeki znikają nagle pod ziemią, te znów wypływają na powierzchnię. Mnóstwo tu wyżłobionych sztolni, jaskiń i podziemnych sal. Najpiękniejsze groty znajdują się w okolicy Postojnej. „Postojnska jama” licząca ponoć 20 mln lat, znana była już człowiekowi w epoce lodowcowej. Z tego to czasu pochodzą znalezione ślady. A od XIX w. udostępnione są najpiękniejsze fragmenty „Postojnskiej jamy”. Jej ponad dwudziestokilometrowy kompleks jaskiń, korytarzy, sal i krużganków, utworzony przez podziemne nurty rzeki Pivki, stanowi jedyną tego rodzaju atrakcję.

Opodal Postojnej leży Cerknisko polje, jeszcze jeden fenomen przyrody. Latem porasta je trawa i zboże, jesienią zaś z licznych pomorów (wylotów podziemnych szczelin w skałach wapiennych), zaczyna występować woda. W ten sposób polje przekształca się w jezioro sportych rozmiarów. Podziemna rzeka biorąca swoje źródła gdzieś spod Snežnika, występuje na powierzchnię, rozlewa się szeroko.

Wracamy na autostradę. Robi się późno. Znów czeka nas nocna jazda. Na trasie trafiamy na dwie burze, leje tak, że wycieraczki nie nadążają zgarbić strug wody. Nie ma rady, trzeba się zatrzymać. Nocujemy na kempingu nad rzeką Krka, u podnóża Sušej Krajiny. Nazajutrz, po południu za Lendawą, zegnamy Jugosłowię: Zdravo! Do skrogo wida...

Jeszcze tylko Węgry i Czechosłowacja. I w domu.



## „Kamikadze”

W związku z opublikowanymi artykułami Pawła Tomaszewskiego pt. „Kamikadze” w tygodniku „Odgłosy” od nr. 25-31 składam protest, ponieważ podane informacje w znacznej części były błędne, złośliwe, nieprawdziwe i obrażające moją godność. Zbyt duża część moich wypowiedzi jest komentowana jako wątpliwa, co nadaje stroniczności prezentowanym publicznie artykułom.

Protest ustny zgłosiłem 4 lipca 1985 r. i zostałem miłe przyjęty przez zastępcę redaktora naczelnego Tomasza Sasa, ale obraźliwość i nieprawdziwość drukowanych artykułów w następnych numerach tygodnika pozostała w tym samym stylu.

Słusznie Paweł Tomaszewski stwierdził, że już wcześniej ukazywały się artykuły publikowane przez inne redakcje obrażające również moją godność („Karuzela”, „Zarzewie”, „Tu i Teraz”). Niezależnie po ich ukazaniu się wystąpiłem protestem pozostawiając jednak bez żadnej odpowiedzi Celowe urabianie na łamach prasy ujemnych opinii ludziom oddanym oświacie, państwu, młodzieży i rodzicom jest krzywdzące tym bardziej, że problem rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia w stosunku do Mieczysława Rykała został jednoznacznie wyjaśniony w czasie procesu prowadzonego przez Terenową Komisję Odwoławczą ds. Pracy w Łęczycy i Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie (Sygn. akt: TKO-37/84 i IP419/85).

Trudno mi ustosunkować się w ramach protestu do treści artykułów według ich kolejności, ponieważ każdy następny zawiera częściowo powtarzające się treści. Dlatego będę się starał grupować materiał problemowo i chronologicznie. Po pierwsze więc informuję, że materiały dotyczące zachowania się delegacji w sierpniu 1983 r. w LPG „Schwante” są nieprawdziwe i obrażające moją godność osobistą oraz godność innych wymienionych w artykule osób. W załączeniu przesyłam redakcji zbiórki protest w związku z opublikowaniem kłamliwych i uwłaczających informacji w piśmie „Karuzela” nr 646 z lutego 1984 roku o bardzo złośliwej treści, która została opublikowana również w artykule pt. „Kamikadze”. W proteście m. in. czytamy:

„Rozmowy i ustalenia przebiegały w sposób należyty, rzeczowy w atmosferze przyjaznej współpracy. Nie zaistniał żaden incydent, który mógłby naruszyć tak i atmosferę prowadzonych rozmów i ustaleń. Informacje przedstawione jako wypowiedzi Mieczysława Rykała są kłamliwe i oszczercze, poniżające godność osób wchodzących w skład delegacji. Kłamstwem jest jakoby rozmowy nagrywane były na taśmie magnetofonową — bowiem zarówno strona niemiecka jak też i strona polska nie zgodziłyby się na to.

Opublikowany artykuł naruszył godność osobistą ludzi zatrudnionych dla oświaty i wychowania...”

Protest ten został podpisany przez ośmiu członków delegacji. Kłamliwe są też informacje dotyczące zachowania się delegacji i podane w artykule, a pochodzące z protokołu spisanego w listopadzie 1984 r., tj. po piętnastu miesiącach (!), które uchyliły od zorganizowanego spotkania opiekunów praktyk. Faktyczny przebieg spotkania odzwierciedla protokół sporządzony przez prowadzącego spotkanie prezesa ZNP Ireneusza Tarke. Protokół był spisany w dniu spotkania i znajduje się w książce na stronie nr 2 (przed protokołem dotyczącym wyboru delegata na konferencję ZNP napisanym na stronie 6 z 13 września 1983 r.). Jeżeli posiedzenie opiekunów praktyk odbyło się 30.08.1983 r. to można stwierdzić brak możliwości napisania wyżej wymienionego protokołu po 13 września 1983 r.

Nieprawdą jest, że jakoby miałem potwierdzić podane informacje — do prasy przez Mieczysława Rykała, a dotyczące zachowania się delegacji w NRD. Książka protokołów Rady Zakładowej ZNP jest do wglądu dla zainteresowanych osób.

Problem sporządzenia drugiego i nielegalnego protokołu dopiero w listopadzie 1984 roku przez nie upoważnione osoby pozostawiam bez komentowania.

Cel wizyty delegacji z sierpnia 1983 roku jest widoczny w postaci efektów w zakresie jakości i rozmiarów współpracy z LPG „Schwante” i „Nauen”. W roku 1983 wyjechały trzy turnusy po średnio 36 osób, a w 1985 roku wyjechało 10 turnusów o łącznej liczbie 540 osób. W bratnim kraju młodzież i nauczyciele zapoznają się z następującymi problemami: nowoczesnymi metodami pracy, remontami maszyn, urządzeń i pojazdów rolniczych, postępem rolniczym w zakresie: upraw, nawożenia, hodowli, budownictwa rolniczego i mechanizacji prac polowych, uprawami szklarniowymi i nowymi odmianami warzyw oraz owoców, podstawowymi metodami upraw polowych, siewów, zbioru, sadzenia itp., melioracją pól i nawadnianiem, transportem i przechowywaniem plodów rolnych, asortymentem produkcji, maszyn, sprzętu i pojazdów rolniczych w NRD.

Wychowawczym celem współpracy jest poznanie dorobku NRD i przekazywanie młodzieży osiągnięć PRL, zacienianie przyjaznych stosunków z załogami LPG „Schwante” i „Nauen”, szkołami okręgu Oranienburg. Pokazuje się młodzieży miejsca historyczne jak Poczdam, Mauzoleum Zachsenhansen, Berlin, Oranienburg i inne. Organizowane są wspólne rozgrywki sportowe, zawody strzeleckie, w których nasza reprezentacja 1984 roku zajęła I miejsce. Młodzież często spotyka się na dyskotekach i w czasie pracy z członkami FDJ, uczniami z Czechosłowacji i ZSRR. Realizacja programu wychowawczego przez kierownictwo turnusów i wychowawców jest wysoko oceniana przez biorące udział w podsumowaniu władze administracyjne i polityczne powiatu Oranienburg. Z punktu widzenia dydaktycznego ważnym celem wyjazdów do NRD jest pogłębianie znajomości języka niemieckiego, którego nauka jest kontynuowana w szkole. Należy podkreślić, że w naszych planach działania realizacja celów wychowawczych i internacjonalistycznych jest najważniejsza. Nasza młodzież cieszy się dużym uznaniem w czasie pobytu w LPG „Schwante” i „Nauen”.

Muszę jednak zaprotestować przeciwko stwierdzeniu, że prezes z LPG „Schwante” „zatrudnia i siebie tania siłą roboczą z Polski”. Takie rozpowszechnianie przez prasę prywatnych poglądów nie będzie scalało naszych przyjaznych stosunków z załogą LPG „Schwante” w NRD, popieranym bardzo szeroko przez rząd obydwu krajów.

Zawsze wysoko oceniałem trud pracy nauczycieli, którzy nadzorowali uczniów i sami z nimi pracowali. Dlatego kategorycznie zaprzeczam jakoby mieli więc udzielone nagany nauczyciele, którzy nadzorowali uczniów w trzecim turnusie wspólnie z Mieczysławem Rykałem. Ich praca została pochwalona na posiedzeniu RPIW w czasie podsumowania praktyk (odnotowano w książce protokołów). Trudno jest się pogodzić z faktem, jak pisał P. Tomaszewski w nr. 30 „Odgłosów”, że „Mieczysław Rykała przynajmniej do stosowania wszelkich sposobów w celu zerwania współpracy między szkołą w Piątku a spółdzielniami niemieckimi. Wyjawia również, że powodem chęci zerwania praktyk było pozyskanie „koronnego argumentu w walce z dyrektorem Cisakiem i jego ludźmi”. Można stwierdzić, że chęć „zemsty” za słuszne rozwiązanie umowy o pracę miała pokrzyżować szkołę współpracując z LPG „Schwante” „NAUEN” cenioną przez młodzież, rodziców i nauczycieli.

Wnoszę również uwagę do treści listu z kwietnia 1984 roku, którego zakończenie nie zostało podane przez P. Tomaszewskiego. Treść jego zakończenia brzmi następująco: „Tak więc planowani praktykanci z Polski nie przybędą do „Nauen” w okresie wakacji 1984 roku. Przepraszamy za zabrany czas i wynikłe komplikacje”. Mieczysław Rykała bez żadnych pełnomocnictw wyręczył w decyzjach kuratora a nawet ministra.

Zaprzeczam stwierdzeniu P. Tomaszewskiego w nr. 25 „Odgłosów” w stosunku do „zarzutów dyrekcji pod adresem Rykały”. Takie zarzuty nie były przedstawiane z wyjątkiem stosowania niewłaściwych metod w zakresie uczenia dziewcząt przed spaniem i powstania niezadowolona młodzieży z braku organizowania wycieczek w czasie wolnym do pobliskich miasteczek. Swoją opinię sam kompletował Mieczysław Rykała podając od siebie różne informacje w pismach: „Karuzela”, „Zarzewie”, „Tu i Teraz”, a ostatnio w „Odgłosach”.

Podawał również swój cały życiorys łącznie z przebiegiem pracy i tak powoli powstała powieść, w której osoba prawnie zwolniona lub inna karana jest „polerowana” w przeciwieństwie do pozostałych, o których mówi się również. Pozostawiam dalsze wywody bez komentowania w stosunku do podważania decyzji Komisji Odwoławczej w Łęczycy i Okręgowego Sądu Pracy i US w Warszawie oraz zaświadczeń lekarskich.

Bez nazwy niech też pozostanie czyn popełniony w stosunku do dyrektora na służbie w pokoju nauczycielskim. Pozostawiam również bez szczegółowej analizy podanych zniekształconych do prasy informacji przez Bronisława Kepińskiego, ponieważ prawdą nie będzie budować jednolitego frontu wychowawczego, a szczególnie na ws. Znany jest Bronisław Kepiński w środowisku, jak sam stwierdził, i uważam, że ta sława mu wystarczy. Zbędne więc było ogłaszanie się w prasie. Uważam, że Bronisław Kepiński ma szczególne względy u rolników za specyficzny sposób nauczania w ramach ośrodka kursowego, ale nigdy nie pochwałę tego, co w prasie o sobie napisał. Zaprzeczam jakoby Bronisław Kepiński był przez dyrekcję szkanowany, odwrotnie, jego nieprawdziwe zarzuty pod adresem dyrekcji są tylko ciągle łagodnie wyjaśniane bez stosowania sankcji za różne posadzenia.

Nieprawdą jest jakoby w szkole fałszowano dokumenty, wyrzynano kartki, przydzielano niewłaściwie encyklopedie i mieszkania. Specjalna komisja przysłana z KOiW w Płocku po przeprowadzeniu kontroli wyjaśniła Bronisławowi Kepińskiemu fałszywość zarzutów. Słuszność przydziału mieszkania udowodnił Sąd Administracyjny w Warszawie, a kto zasiadł na sali rozpraw w charakterze kibica? — wolę przemilczeć. Z tymi ugodami wspomnianymi przez Bronisława Kepińskiego różnie było, ale zawsze wybierałem korzystny wariant dla nauczycieli.

Zaprzeczam również jakoby szkoła zaniedbywała się w realizacji obowiązków w zakresie nauczania i wychowania. Podanie takich informacji publicznie godzi bezpośrednio w dobre imię nauczycieli gorliwie wykonujących obowiązki służbowe. Szkoła powołana od 1983 roku rozwija się dynamicznie, co można stwierdzić po wzroście liczby pomieszczeń warsztatowych, pracowni specjalistycznych oraz kompletnych obiektów. Budowane są warsztaty szkolne i internat. Wykupione zostały działki sąsiadów dla zwiększenia terenów szkolnych. Ogrodzono, odnowiono i prawie utwardzono w całości nawierzchnie wymienionych terenów. Wybudowano stację transformatorową. Przeprowadzono modernizację kotłowni zwiększając moc grzewczą prawie trzykrotnie. Zwiększono możliwości realizacji zadań w ramach praktycznej nauki zawodu na stanowiskach produkcyjnych zakładu opiekuńczego w Fabryce Maszyn Rolniczych „Agromet — Kraj” w Kutnie. Utrzymywane są przyjazne i korzystne stosunki z innymi zakładami opiekuńczymi jak: Zakładem Remontowo-Energetycznym ZM „Ursus” w Warszawie, Płakowskim Zakładem Mechanicznym, Rolniczymi Spółdzielniami Produkcyjnymi w Podgórzycach, Peławicach, Modelu i Konarzewie oraz innymi.

Współpraca ta pozwala na lepszą organizację programu nauczania z zakresu teorii i praktyki. Młodzież za odpracowane wolne soboty otrzymuje od zakładów bezpłatnie autokary na wycieczki. Warsztaty Szkolne dzięki współpracy z zakładami opiekuńczymi mogą szybciej jakościowo i lepiej wykonać zadania szkoleniowo-produkcyjne. Praca na stanowiskach roboczych lepiej uczy zawodu. Młodzież z Zakładu Remontowo-Energetycznego ZM „Ursus” w Warszawie otrzymuje stypendium fundowane. Bardzo dobrze układa się współpraca z rodzicami, gdzie powołany Komitet Pomocy Szkole zebrał na budowę świetlicy około 250 tys. zł. w bieżącym roku szkolnym. Rodzice pomagają również w organizowaniu imprez i rocznic. Znaczna część artykułów żywnościowych niezbędnie potrzebna dla dożywiania w ramach działalności Spółdzielni Uczniowskiej pochodzi od rodziców-rolników. Młodzież często zajmuje pierwsze miejsca w konkursach np. w 1985 roku w konkursie na najlepszą pomoc naukową wykonywaną w ramach prac dyplomowych, uczniowie klasy V zajęli I miejsce. Systematyczny postęp w zakresie przygotowywania własnego warsztatu pracy mogliśmy uzyskać dzięki ofiarnej pracy znacznej części grona pedagogicznego i pracowników zespołu.

Zawsze znajduję jednostki, którym takie działania nie będą „na rękę”. Często jeszcze pytają oni przy zleceniu zadań wynikających z ich obowiązków nauczycieli „dyrektorze, za ile”. Mam nadzieję, że ten stosunek społeczny postępowania z roku na rok będzie malał. Uważam, że każdemu nauczycielowi, rodzicom i uczniowi powinno zależeć na dobrej pracy i nauce oraz wychowaniu. Musimy stworzyć jednolity front w wychowaniu młodego pokolenia.

Na zakończenie swojej wypowiedzi proszę tylko o jedno, aby nigdy nie traktować dyrektorów jako „worka treningowego dla bokserów”.

Proszę o opublikowanie mojego wyjaśnienia i protestu.  
Otrzymują do wiadomości:  
1) Komitet Wojewódzki PZPR w Płocku  
2) Komitet Wojewódzki PZPR w Łodzi  
3) Wojewoda Płocki  
4) Wojewódzki Komitet ZSL w Płocku  
5) Komitet Gminny PZPR w Piątku  
6) Kurator Oświaty i Wychowania w Płocku.

STANISŁAW CISAK  
(Dyrektor Zespołu Szkół  
Mechanizacji Rolnictwa w Piątku)

OD REDAKCJI: Odpowiedź Pawła Tomaszewskiego na list Stanisława Ciska — zgodnie z Art. 32 pkt. 6 „Prawa prasowego” — ukaże się w następnym numerze „Odgłosów”.

Jestem nie tylko oburzony ale i równocześnie urażony, że podpisując się tytułem magistra Ireneusz Tarke uważa swoje wypowiedzi za obiektywne, a w każdym bądź razie chce, żeby je tak odbierano (chodzi o wypowiedź dotyczącą artykułów „Kamikadze”). Sam znam kilka faktów i wcale nie wygląda to tak, jak przedstawił to I. Tarke. (...)

Ireneusz Tarke tyle razy podkreślał, ile to dyrektor Stanisław Ciska nabywał i nawiązał kontaktów z zagranicą, nie wspominał natomiast, co jest z nauczaniem i wychowaniem w tej szkole. Co nowego ulepszone i wprowadzone do pracowni i do procesów nauczania? To tak, jak gdybyśmy poszli do szewca i nie mogli naprawić butów lub w piekarni kupić chleba. Zastanawiam się, jaki to jest przykład dla uczniów, którzy mają po 16 czy 19 lat i są świadkami takich wydarzeń. Z czym wychodzi przyszły absolwent tej szkoły? Wprawdzie I. Tarke napisał, że wracają tu absolwenci, ale ja przez moją żonę utrzymuję z nimi kontakt i odpowiedź ich jest jedna: „jako uczeń nie mogłem zmienić atmosfery tej szkoły, więc liczyłem,

że jako pracownik tejże szkoły będę miał większe szanse. Ale moje marzenia są nie do zrealizowania” (...)

Oburzył mnie również fakt, że I. Tarke używa nazwiska mojej żony, a równocześnie i mojego, podając przy tym fałszywe wiadomości. Przede wszystkim żona do szkoły z własnej woli nie poszła (po pierwsze: urlop wychowawczy, po drugie: wakacje), tylko została wezwana w sprawie naprawy pieca w wynajętym dla nas przez szkołę mieszkaniu. Rozmowa w sprawie pieca trwała nie więcej niż 5 minut, a przygotowany już wcześniej świadek atakował żonę o sprawy z NRD, z owego pamiętnego turnusu i osobę M. Rykały. Po wyjściu żony i pod jej nieobecność sporządzono z tego zebrania protokół (znowu praca konspiracyjna).

Ireneusz Tarke pisze, że żona zrobiła dyrektorowi Stanisławowi Ciskowi awanturę. Skąd I. Tarke wie, czy to była awantura, jeśli w tym czasie stał na przystanku i czekał na autobus do Płocka. Owszem żona zapytała się dyrektora Ciska: „Czy to prawda, że kazał I. Tarce by ten przekazał do Kuratorium w Płocku, iż jest wyjątkowo trudną nauczycielką”? Dyrektor nie zaprzeczył, ale stwierdził, iż to inaczej sformułował. I to była niby ta cała awantura. Nie chodziło tutaj o to czy taka rozmowa była czy nie, tylko o to by znalazło się nazwisko mojej żony w takim właśnie kontekście: „O patrzcie jaka to ona jest!”

Nie wyobrażam sobie by dyrektor mojego zakładu pracy chodził i zbierał od swoich pracowników oświadczenia. Byłem jednak świadkiem, jak trzy razy był w mieszkaniu mojej żony żądając pisemnych oświadczeń. Jeden raz był sam, wiem, że wtedy żona odmówiła. Drugi raz przyszedł z wicedyrektorem o godzinie 22.00 i siedział bardzo długo, przekonując żonę, że powinna napisać oświadczenie o tym, że został pobity przez M. Rykała. Żona powiedziała, że o pobiciu nic nie napisze, bo takie zajście nie miało miejsca. Była wtedy w ciąży, zdenerwowała się, popłakała, ale oświadczenie napisać musiała (St. Ciska dyktował jej). Był jednak oburzony, że nie chce napisać o użyciu siły fizycznej. Było już po północy, gdy odeszli z domu.

Po raz trzeci dyrektor Stanisław Ciska przyszedł z kierownikiem warsztatów. Dokładnie o godzinie 20.30 lub 20.40, w dwa tygodnie po porodzie. Żona nie podnosiła się jeszcze z łóżka, a dziecko już spało. Był późny słoty wieczór i zdziwiłem się, że o tej porze przychodzi w odwiedziny dyrektor, tym bardziej, iż wiedział, że mamy tylko jeden pokój, który musi nam służyć jako sypialnia, jadalnia i wreszcie pokój dziecienny. Zdenierwowałem się i powiedziałem, że to zbyt późna pora na odwiedziny, a gdy to nie pomogło, zamknąłem drzwi. I od tego czasu moja żona nie zaznała spokoju, rozpoczęły się pod nią „podjazdy”. Zresztą nie tylko ja o tym wiem, bo mówi o tym cały Piątek. Często przemieszcza się do szkoły, bo padają takie pytania: „a prawda to, że teraz mają zwolnić pańską żonę, a to by była wielka szkoda?”, albo „a prawda to, że służbowo dyrektor Ciska przenosi pańską żonę do szkoły podstawowej?” itp.

Szczególną nienawiścią została otoczona przez pewne osoby ze szkoły, gdy potwierdziła redaktorowi Pawłowi Tomaszewskiemu te fakty, które miały miejsce. (...)

Znam moją żonę, wiem, że była prymuską w szkole średniej, na studia wytypowana bez egzaminów, skończyła studia z czerwonym dyplomem. Pierwszą pracą w Zbiorczej Szkole Gminnej w Ostrowach oceniono bardzo dobrze. Ceniona była nie tylko przez dyrektora, ale rodziców i uczniów, a nawet ZBoWiD. Jestem świadkiem wielu wizyt i odwiedzin uczniów z tamtej szkoły. Wszyscy pamiętają o przesłaniu kartek na święta. Odwiedzają ją również bardzo często absolwenci ZSMR w Piątku. Zawsze była oceniana bardzo dobrze, nagradzana w nauce i pracy, natomiast w ZSMR w Piątku wyjątkowo tępiła i przesładowana. Bo tak tylko można to nazwać i nie boję się tego napisać, nie myślę, że jest to chwalebne się.

Zal mi zawsze takich ludzi jak moja żona. Ona zawsze chce być sobą, bez względu na to, w jakiej znajduje się sytuacji. Nie potrafi żyć „bez szkoły”. Dla niej nie poza jej pracę nie istnieje. Ale gdy widzę, że stała się „następną ofiarą” i że to ta właśnie szkoła „niszczy ją” i powoli staje się coraz większym kłębkiem nerwów, buntuję się i patrzę na nią z współczuciem. Dyrektor St. Ciska do tej pory nie może zrozumieć, dlaczego to moja żona „popiera Rykała”. I przez cały czas nie może pojąć, że moja żona potwierdziła tylko te fakty, które miały miejsce. Poza tym nie będzie pisać dyktowanych przez dyrektora oświadczeń ani artykułów do prasy, jak to czyni pewna grupa nauczycieli. Wprawdzie nie wypowiadam się może tak poprawnie jak inni zabierający głos w dyskusji, ale niezależnie od poprawności mojego tekstu myślę, że zostanie on wydrukowany.

STANISŁAW PIOTROWSKI

Piątek, 1985.08.10.

P. S. Piszę ten tekst pod nieobecność żony (jest na wczasach), gdyż w obawie o dalsze szykany nie pozwoliłaby wysłać tego listu.

## XXVI KONKURS POETYCKI „CZERWONEJ RÓŻY”

Klub Studentów Wybrzeża „ZAK” w Gdańsku organizuje po raz dwudziesty szósty Ogólnopolski Konkurs Poezji Społecznej i Zaangażowanej o Nagrodę „Czerwonej Róży”. Zasady XXVI Konkursu o Nagrodę „Czerwonej Róży” pozostają niezmienne — mogą brać w nim udział wszyscy poeci.

Pod adresem organizatorów należy nadesłać zestaw trzech wierszy w pięciu kopciach maszynopisu, opatrzonej godiem oraz zaklejoną kopertę zawierającą personali autora, także opatrzoną godiem. Liczba zestawów jest dowolna. Termin nadsyłania tekstów upływa 31 października 1985 r. (Decyduje data stempla pocztowego).

Prace będzie oceniało jury powołane przez organizatorów. Zostaną przyznane następujące nagrody: I nagroda — szałetka „Czerwonej Róży” oraz 15.000 zł; II wyróżnienie — 10.000 zł; III wyróżnienie — 5.000 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Jury zobowiązane jest jednak przyznać nagrodę główną „Czerwonej Róży”.

Poza nagrodami konkursowymi jury rozstrzygnie tradycyjne konkursy o nagrody symboliczne:

- „Paleryny” — za najlepszy debiut poetycki roku;
- „Pióra” — za całokształt pracy krytycznej w dziedzinie poezji;
- „Pierścienia” — za całokształt twórczości poetyckiej poety młodego pokolenia;
- „Pegaza” — za całokształt pracy przekładowej z języków obcych w dziedzinie poezji;
- „Kogi Gdańskiej” — za popularyzację poezji społecznie zaangażowanej i krzewienie kultury poetyckiej;
- „Wiatru od morza” — twórcom młodego pokolenia, którzy wnieśli istotny wkład w rozwój życia kulturalnego Gdańska.

Ogłoszenie wyników Konkursu przewidziane jest na połowę listopada 1985 r. Siedzibą Komitetu Organizacyjnego, pod adresem którego należy nadsyłać teksty z dopiskiem „Czerwona Róża” oraz miejscem rozstrzygnięcia jest Klub Studentów Wybrzeża „ZAK”, ul. Długa 57, 80-827 Gdańsk.

## „M” — dla córeczki

Nie mam zamiaru polemizować z artykułami zamieszczanymi w „Odgłosach”, autorstwa Edwarda Bryla, a także odnosić się do formy przekazywania dalece nieściślych i nieprawdziwych informacji, lecz nie mogę pozostać obojętny i nie wyrazić swego oburzenia wobec szkanowania mojej osoby. Artykuł 12 „Prawa prasowego” wyraźnie stanowi, że dziennikarz jest obowiązany zachować szczególną staranność i rzetelność przy zbieraniu i wykorzystywaniu materiałów prasowych i sprawdzać zgodność z prawdą uzyskanych wiadomości, względnie podać ich źródło.

Jak w świetle wymienionego przepisu prawnego postępuje Edward Bryl, niechaj posłużą przedstawione przykładowo fakty:

1) Podaje do ogólnej wiadomości karę partyjną nałożoną na mnie przez Wojewódzką Komisję Kontroli Partii, pomimo że orzeczenie nie zawiera takiego postanowienia. Czy jest to kara dodatkowa E. Bryla?

2) Zarzuca mi, że „zwyčajnie wymógł, nieważne jakimi sposobami, na członkach Zarządu i Rady Nadzorczej SM „Zarzew” i podpisał ów przydział, oraz zarządził kapitalny remont w lokalu, dokładniejszy niż zazwyczaj”. Z jakich dokumentów i informacji korzystał E. Bryl? Udokumentowany stan faktyczny jest inny, a wyraz tego dało także postępowanie sądowe.

3) Ponieważ ze świadków zeznających przed Sądem Wojewódzkim, członkiem SM „Zarzew” była Bożena Niewiadomska, uważam za celowe, aby Edward Bryl zapoznał się z aktami zainteresowanej, a z pewnością uniknąłby tak rażąco błędnych informacji.

4) Edward Bryl pisze, że „Prezes SM „Zarzew” bardzo łatwo przychylił się do urzędowej prośby córki, a znam przypadek, iż w ogóle nie chciał rozmawiać na temat przyspieszeń z petentami. Stwierdził krótko i ostatecznie — na to nie ma najmniejszych, żadnych szans”. Z jakich informacji korzystał Edward Bryl, gdyż tak przewód sądowy jak i prowadzone przez Spółdzielnię dokumenty, wynikające z rozmów z petentami, wskazują na inne okoliczności i fakty?

5) Edward Bryl pisze „W trakcie rozprawy nadmieniono również, że prezes E. Pastwiński przyznał także mieszkanie swojej teściowej, pomimo że już decyzja na lokal funkcyjny...”. Wypada, aby autor wiedział, że mieszkania nie przyznaje prezes, a bliższą informację z pewnością uzyska z dokumentów.

6) Edward Bryl pisze „Prezes SM „Zarzew” Edward Pastwiński krzyknął w ferworze publicznie — jeśli moja córka będzie zmuszona oddać mieszkanie, nie zrobi to osamotniona, mieszkanie też zwróci wiele wpływowych osobistości z różnych instytucji i instancji”. Czy Edward Bryl słyszał te wypowiedzi, lub czy może udowodnić ten fakt? Dla mnie stanowi to włożenie cudzych sformułowań w moje usta.

7) Edward Bryl podaje w artykule moje dane personalne, co w świetle przedstawionych wyjaśnień jest podrywaniem autorytetu i urabianiem fałszywej opinii wśród czytelników, nie mówiąc o osobistej psychice i zdrowiu.

Przedstawiając powyższe prośbę uprzejmie o spowodowanie sprostowania nieprawdziwych danych zamieszczonych w wymienionych artykułach.

EDWARD PASTWIŃSKI

Łódź, 1985.08.01.

### Do wiadomości:

1. Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL ul. Piotrkowska 66
2. Komitet Dzielnicowy PZPR — Łódź-Widzew, ul. Szpitalna 6
3. Rada Nadzorcza SM „Zarzew”

Podstawowa Organizacja PZPR, koło SD i Związki Zawodowe Pracowników SM „Zarzew” działające z upoważnienia całej Rady Nadzorczej Mieszkaniowej „Zarzew” pragną skierować na ręce Naczelnego Redaktora ostry protest w sprawie zamieszczania nieprawdziwych danych, wręcz „kłamstw i oszczerstw” w artykułach publikowanych w tygodniku „Odgłosy”, pt. „M — dla córeczki”, autorem których jest Edward Bryl, a dotyczących naszej Spółdzielni.

Sprawa przydziału mieszkania córce przewodniczącego Zarządu Jolanty Lewandowskiej rozpatrywana jest przez Sąd, którego prawomocny wyrok jest jeszcze nieznanym. Wiadomym już jest natomiast jak wynika z orzeczenia Sądu Najwyższego, że nie zostały naruszone przepisy prawa spółdzielczego przy tym przydziale. Toczące się postępowanie sądowe dotyczy naruszenia zasad współzależności społecznej zgodnie z Kodeksem Cywilnym w tym konkretnym przypadku. Jakim prawem zatem Edward Bryl używa sformułowań, że w SM „Zarzew” łamane są przepisy prawa spółdzielczego przy przydziale mieszkań?

W SM „Zarzew” w ostatnim okresie prowadzona była kontrola przez Inspekcję Robotniczo-Chlopską, która działalność Spółdzielni w zakresie przydziałów i zamiany mieszkań oceniała pozytywnie. Jakim prawem więc Edward Bryl wykrywa aferę mieszkaniową w naszej Spółdzielni używając takich sformułowań?

Przedstawiciele POP i Związków Zawodowych uczestniczą w każdym posiedzeniu Zarządu i Rady Nadzorczej SM „Zarzew” i czują się współodpowiedzialni za podejmowane decyzje. Stąd jesteśmy urażeni stwierdzeniami Edwarda Bryla, że przewodniczący Zarządu wymógł na członkach Zarządu i Rady Nadzorczej przydział mieszkań dla córki.

Edward Bryl w „Odgłosach” nr 31 z 3 sierpnia 1985 r. prezentuje zeznania świadków którzy występowali przed Sądem Wojewódzkim, dającego jednak pomija fakt, że z osób tych jedynie członkiem SM „Zarzew” jest Bożena Niewiadomska, a tym samym wprowadza w błąd opinię publiczną. Kto udzielił E. Brylowi pełnomocnictwa, aby ocenił działalność naszej Spółdzielni, który pozwala sobie na stwierdzenie: „Na budownictwo spółdzielcze w Łodzi narzekano od dawna, ale najwięcej skarg było na SM „Zarzew”. Jest to ocena niezgodna z prawdą i szkanująca naszą Spółdzielnię.

Pragniemy poinformować, że Spółdzielnia nasza posiada dobre wyniki w działalności gospodarczej i społecznej. Działalność nasza jest pozytywnie oceniana przez władze administracyjne i polityczne dzielnic. Pozytywnie ocenia naszą pracę Samorząd Spółdzielczy, a dowodem tego jest Zebranie Przedstawicieli Członków SM „Zarzew”, które odbyło się 30 maja 1985 r. i udzieliło jednomyślnie absolutorium Zarządowi za jego pracę.

Nie wyczerujemy z pewnością wszystkich spraw, gdyż nie jesteśmy redaktorami i nie posiadamy talentu takiego jak E. Bryl.

Z upoważnienia zarządu SM „Zarzew” jesteśmy zobowiązani znając stanowisko w odniesieniu do pracy i postawy przewodniczącego Zarządu mgr inż. Edwarda Pastwińskiego.

E. Pastwiński jest dyrektorem naszej Spółdzielni od chwili jej powstania, tj. od 1.1.1980 r. Jest to człowiek godny tego stanowiska i cieszy się dużym szacunkiem i autorytetem wśród zarządu, a także zdecydowanie większość członków Spółdzielni. Artykuły pisane przez Edwarda Bryla są straszącymi, niezgodnymi z prawdą i wręcz szkanującymi E. Pastwińskiego. Watpliwość Edwarda Bryla co do dalszego zatrudnienia Edwarda Pastwińskiego na zajmowanym stanowisku są jego osobistymi i nie Edward Bryl będzie o tym decydował.

Zadamy zaprzestania podawania na łamach tygodnika „Odgłosy” danych niezgodnych z prawdą, które podrywają autorytet naszej Spółdzielni, jej kierownictwa i całej załogi. Prosimy, aby nasz protest został jak najszybciej opublikowany w tygodniku „Odgłosy” i aby i ta publikacja była wyraźnie zasygnalizowana pod hasłem „M — dla córeczki” z pełną naszą autoryzacją.

Nadmieniamy, że zaręba SM „Zarzew” zdecydowana jest wystąpić do Zarządu Spółdzielni z wnioskiem, aby Edwardowi Brylowi wytoczyć proces sądowy za pomówienia i zniesławienie.

Łódź, 1985-08-08.

Z upoważnienia Związków Zaw. Prac. SM „Zarzew” przewodnicząca EWA KWIATKOWSKA

Z upoważnienia Koła SD SM „Zarzew” przewodniczący JAN PIEKARSKI

Z upoważnienia POP SM „Zarzew” i sekretarz JOZEF SZPOTON

### Do wiadomości:

1. Komitet Wojewódzki PZPR Łódź, al. Kościuszki 107/109
2. Komitet Dzielnicowy PZPR Łódź-Widzew ul. Szpitalna 6
3. Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL ul. Piotrkowska 66
4. Rada Nadzorcza SM „Zarzew”

Sprawa przydziału mieszkania dla córki dyrektora Spółdzielni Mieszkaniowej „Zarzew” nie ma jeszcze sądowego finału. Orzeczenie Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, Wydział I Cywilny uznające ten przydział nie jest prawomocne. Publikowane w „Odgłosach” nr 19 i 31 artykuły Edwarda Bryla budzą emocje większe, niż meritoryczno-formalny spór, toczony na salach sądowych.

Częściowemu choćby rozładowaniu tych emocji służyło spotkanie, zorganizowane i zainicjowane przez Radę Nadzorczą Spółdzielni z udziałem przedstawicieli KD PZPR Łódź-Widzew, sekretarza POP SM „Zarzew”, przewodniczącego koła SD oraz przewodniczącego związku zawodowego zrzeszającego pracowników spółdzielni. Redakcja nasza reprezentował redaktor naczelny — Lucjusz Włodkowski. Był także obecny n.ż. podpisany i autor kontrowersyjnych publikacji — Edward Bryl.

Spotkanie odbyło się 16 sierpnia 1985 r.

Przewodniczący Rady Nadzorczej dał wyraz rozgoryczeniu, jakie artykuły Edwarda Bryla wywoływały wśród członków Rady Nadzorczej Spółdzielni oraz etatowych pracowników. Przypomniał, że SM „Zarzew” jest spółdzielnią typowo eksploatacyjną, tj. nie ma członków oczekujących na przydział mieszkań. Zrzesza 14.137 członków i gospodaruje 233 budynkami. Jako taka, jednostka została przed ponad pięcioma laty wyodrębniona ze Spółdzielni Mieszkaniowej „Bawelna”. Ze zrozumieliśmy względów ruch członków jest minimalny, taki tylko, jaki wynika z naturalnego ubytku członków, zamiany mieszkań itp.

Edward Bryl zarzuca kierownictwu spółdzielni niegospodarność, tymczasem koszt eksploatacji jednego metra kwadratowego w roku 1984 wyniósł 271,17 zł i jest niższy niż w innych spółdzielniach. Inny zarzut Edwarda Bryla, straszony w stwierdzeniu, iż najwięcej skarg było na SM „Zarzew”, nie odpowiada prawdzie, bowiem w roku 1984 wpłynęły 34 skargi na działalność spółdzielni, przy czym w niektórych spółdzielniach województwa łódzkiego było ich znacznie więcej. Inne fakty, świadczące o prawidłowym funkcjonowaniu organów kierowniczych spółdzielni, to np. liczby propozycji, jakie otrzymywali członkowie spółdzielni, składający umotywowane wnioski o zamianę mieszkań na większe, ujęte w planie zamian. Po przedstawieniu propozycji, z reguły około 50 proc. zainteresowanych rezygnuje z propozycji. Także zasiadanie w esztafietach służbowych odbywa się zgodnie z przepisami i przy uwzględnieniu interesów społecznych. Wreszcie o właściwym działaniu Zarządu Rady Nadzorczej i prezesa spółdzielni świadczą wyniki licznych kontroli, w tym także protokoły kontroli przeprowadzonej przez Inspekcję Robotniczo-Chlopską.

Edward Bryl zarzuca działaczom spółdzielczości mieszkaniowej, że swoje społeczne funkcje pełnią tylko do czasu osiągnięcia korzyści własnej lub swoich bliskich, i tylko dla tych korzyści pełnią te funkcje. Te stwierdzenia Rada Nadzorcza uważa za kłamliwe i obraźliwe zarówno dla Zarządu Spółdzielni, jak i dla Rady Nadzorczej. W obydwu tych organach zasiadają wieloletni, ofiarni i zaangażowani działacze społeczni, członkowie organów przedstawicielskich i samorządowych (między innymi WRN i DRN) członkowie PZPR i SD, wielu spośród nich odznaczonych jest wysokimi odznaczeniami resortowymi i państwowymi.

W odniesieniu do konkretnej sprawy przydziału mieszkania dla córki prezesa spółdzielni, Rada Nadzorcza stwierdza, że przydział dokonano zgodnie z prawem, co znajduje potwierdzenie w orzeczeniu Sądu Najwyższego. Zatem fragment artykułu Edwarda Bryla, stwierdzający, że prezes Pastwiński „wymógł (...) na członkach Zarządu i Rady Nadzorczej SM „Zarzew” i podpisał ów przydział” nie polega na prawdzie.

Wreszcie artykuł Edwarda Bryla z 3 sierpnia 1985 r. zawiera opis trudnych warunków mieszkaniowych i bezskutecznych starań o przydział mieszkania spółdzielczego osób, które nie są członkami SM „Zarzew”, z wyjątkiem sprawy Bożeny Niewiadomskiej. W tym przypadku jest przeciwnie, gdyż współmałżonek jest współwłaścicielem domu jednorodzinnego, wieloizbowego w Andrespolu.

Replikował Edward Bryl. Stwierdził m. in., że 34 skargi na piśmie to jak wiadomo z praktyki, tylko część najróżniejszych pretensji mieszkańców i członków spółdzielni. Jest masa skarg, często tylko telefonicznych, do prasy, do różnych instytucji i ciał społecznych. Przyjście, jako kryterium działalności władz spółdzielni, tylko liczby skarg, które wpłynęły na piśmie, może być co najwyżej mylące.

Następnie Edward Bryl ustosunkował się do stwierdzenia Rady Nadzorczej, iż w dokumentach nie ma potwierdzenia, jakoby prezes wymógł na członkach Zarządu i Rady Nadzorczej przydział mieszkania dla córki. Byłoby naiwnością spodziewać się, że np. w protokole posiedzenia Zarządu Spółdzielni znajdzie się stwierdzenie, że prezes ostatecznie wymusił na członkach zarządu. Jednak samo „ekspresowe” przyznanie przydziału, przeprowadzenie w błyskawicznym tempie remontu mieszkania itp. o takim wymuszeniu pośrednio świadczy. Potwierdził to zresztą sąd.

Przewodniczący Rady Nadzorczej używa argumentu, że odznaczenia państwowe i resortowe, przyznane członkom Zarządu i Rady za ich pracę są potwierdzeniem prawidłowości ich działań i decyzji. Przewodniczący Rady Nadzorczej podkreślił przydatność na zajmowanym stanowisku przewodniczącego zarządu Edwarda Pastwińskiego, zwracając uwagę na jego dużą znajomość zagadnień spółdzielczych, umiejętności organizatorskie, operatywność w działaniu i umiejętności kierowania zespołem. Redaktor naczelny „Odgłosów” zwrócił w tym miejscu uwagę, że żadne stanowiska i zasługi nie mogą chronić przed krytyką, jeśli jest ona rzetelna i umotywowana.

Jeden z dyskutantów (radny DRN, członek Komisji Skarg) przypomniał sprawę przydziału mieszkania dla Bożeny Niewiadomskiej, która też uzyskała przyspieszony przydział. Jeśli przydział dla córki prezesa E. Pastwińskiego stanowi naruszenie prawa, to ten przydział był tym bardziej bezprawny. Następnie mówca dał wyraz swemu brakowi zaufania do prasy i dziennikarzy w ogóle, „skoro zamieszcza się kłamstwa”.

Kolejny dyskutant postawił autorowi artykułów zarzuty: na jakiej podstawie oparł on twierdzenie o sfingowanym zaświadczeniu o ciąży Jolanty Lewandowskiej i dlaczego podał do publicznej wiadomości, że Edward Pastwiński otrzymał karę partyjną? Publiczna informacja o takiej karze może być uważana za karę dodatkową.

Ze strony redakcji wyjaśniono, że zgodę na ujawnienie nazwiska Edwarda Pastwińskiego redakcja uzyskała z urzędu prokuratorskiego. Natomiast kary partyjne, podobnie jak np. kary sądowe, nie mają tajnego charakteru.

Kolejny zarzut był zawarty w pytaniu: czy Edward Bryl był w zarządzie, kiedy zbierał materiały do publikacji? Czy prosił o pokazanie odpowiednich dokumentów?

Edward Bryl odpowiedział, że opierał się na dokumentacji prokuratury i sądu oraz informacjach uzyskanych od ob. Eugeniusza Jakubowskiego. Uznał wówczas i uznaje nadal te dokumenty za wiarygodne i w pełni wystarczające do wyrobienia sobie poglądu o sprawie przydziału mieszkania dla córki prezesa.

Następnie kilkoro obecnych wyraziło żal i rozgoryczenie, że za wieloletnią, społeczną działalność, całkowicie bezinteresowną, spotykają się teraz z uszczypliwymi żartami, przejawami nieufności itd.

Kolejny mówca stwierdził, że lektura artykułów „M — dla córeczki” wywołuje u niego wrażenie, iż zostały one zainspirowane. Stwierdził też kategorycznie, że nieprawdziwe zarzuty w nich zawarte nikomu pożytku nie przyniosą, a zdecydowanie szkoda spółdzielni, jej członkom, terytorialnym organom władzy, społeczeństwu i partii.

Jeden z pracowników pionu technicznego spółdzielni wyraził swoje oburzenie do krytyki prasowej nie popartej wiarygodnymi faktami.

Kilku jeszcze dyskutantów mówiło o krzywdzie, jaka spotkała działaczy spółdzielczych i o trudnościach w ich pracy.

Lucjusz Włodkowski poinformował zebranych, że w omawianej sprawie wpłynęły do redakcji listy od organizacji politycznych i związkowej SM „Zarzew” i od Edwarda Pastwińskiego, które zgodnie z „Prawem Prasowym” będą publikowane wraz ze sprawozdaniem z niniejszego spotkania. Wyraził zrozumienie dla postawy działaczy społecznych SM „Zarzew”, którzy poczuli się urażeni publikacjami Edwarda Bryla i zaproponował opublikowanie sprawozdania z tego spotkania. Wprawdzie nie we wszystkich sprawach doszło do zgodności poglądów, gdyż inny punkt widzenia ma Rada Nadzorcza, a inny redakcja.

Propozycja została przyjęta przez Radę Nadzorczą. Postanowiono, że tekst przygotowany przez redakcję zostanie autoryzowany przez członków Rady Nadzorczej.

Lucjusz Włodkowski zaprzeczył, jakoby „M — dla córeczki” były przez kogokolwiek inspirowane. Redakcja decydując się na ich publikację kierowała się tylko interesem społecznym.

ANDRZEJ KAROLCZAK

## W SPRAWIE KONKURSU LITERACKIEGO O NAGRODĘ „CZŁOENKA TKACKIEGO”

Redakcja tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” informuje wszystkich zainteresowanych, że nie jest współorganizatorem tego konkursu, jak mylnie poinformowali w stosownym komunikacie jego organizatorzy. Dokonano tego bez porozumienia z nami. Ponadto w regulaminie konkursu umieszczono passus o tym, że najlepsze prace będą opublikowane w całości lub w fragmentach w tygodniku „Odgłosy” oraz odrębnie uhonorowane. Stwierdzenie to, mające wszelkie cechy przyrzeczenia publicznego — czyli zobowiązania wedle polskiego prawa cywilnego — jest nieprawdziwe, a jego zamieszczenie w komunikacie konkursowym jest wybrzydkiem organizatorów, zupełnie z redakcją nie uzgodnionym. Wobec tego redakcja oświadcza, że nie będzie ponosić żadnych skutków prawnych tego „przyrzeczenia”, w szczególności nie będzie uznawać rozszerzonego ewentualnie zglaszanych z tego tytułu przez uczestników konkursu. Wszelkie konsekwencje winny obciążać organizatorów konkursu o „Człoenka Tkackiego”.

REDAKTOR DYŻURNY

## „TAKI SOBIE POZAR”

W numerze 28 „Odgłosów” z dnia 13 lipca 1985 r. ukazał się reportaż pt. „Taki sobie pozar”. W końcowym jego fragmencie, opisując skandaliczny wygląd miejsca wokół tzw. myśliwskiej ambony, stwierdziłem: To była wizytówka, którą zostawili ludzie w zielonych mundurach. Rzecz jasna uwagę tę adresowałem do myśliwych, co zresztą wyraźnie zaznaczyłem w tekście.

Pracowników Nadleśnictwa Kolumna, którzy również noszą zielone mundury i dlatego stwierdzeniem powyższym poczuli się urażeni, szczerze przepraszam.

Przepraszam leśniczego z Terenina Pana Marka Borowskiego za to, że z powodu moich krytycznych spostrzeżeń niesłusznie wyciągnięto w stosunku do niego konsekwencje służbowe.

Dzielnym myślowym stokrotnie dziękuję za to, że jak dotąd nie spełnili obietnicy „odstrzeżenia” mnie.

ROMAN KUBIAK

## ROBOTNICZY O SOBIE I O SWOICH DĄŻENIACH

Kilka tygodni temu Instytut Badań Klasy Robotniczej Akademii Nauk Społecznych w Warszawie ogłosił konkurs na wypowiedzi robotników pod powyższym hasłem. Listy z całego kraju już napływają. Zgodnie z zapowiedzią powołane zostało Jury konkursu pod przewodnictwem dyrektora Instytutu — prof. Leszka Gilejko z udziałem robotników — działaczy z Warszawy i Poznania oraz profesorów zajmujących się problematyką klasy robotniczej z różnych uczelni całego kraju. Sąd ten przyszedł do końca 1985 r. pięćdziesiąt jednakowej wysokości nagród po pięć tysięcy zł za prace najlepiej ukazujące problemy położenia i pracy robotników: szczerze, bezpośrednio, pisane tak, jak kto umie, jak rozmawia o naszych sprawach, w dowolnej formie (pamiętnika, wspomnienia, listu, notatnika, uwag, postulatów, polemiki, programu itp.). Około 10 stron maszynopisu lub czystego rękopisu takiej pracy konkursowej należy przesłać do końca września 1985 r. pod adresem: Instytut Badań Klasy Robotniczej ANS, 00-950 Warszawa, ul. Szopena 1, skr. poczt. 172, V p. (Wszystkie prace będą przeczytane i wykorzystane wyłącznie do badań naukowych. Stąd decyzja, by nie stopniować nagród, lecz skromnie uhonorować możliwie dużą liczbę prac najlepszych, bo nie o wysięg literacki tu chodzi...)

Apel nasz skierowany jest do wszystkich robotników i ich rodzin, do wszystkich, którzy czują się robotnikami. Nazwiska autorów — na życzenie — będą zachowane w tajemnicy, tylko do wiadomości organizatorów z nadesłanych prac planuje się wydanie wspólnej publikacji naukowej, którą otrzymają autorzy wykorzystanych wypowiedzi w formie książki. Jej opracowanie zależy od ilości i jakości prac nadesłanych. Dla analiz naukowych ważne jest podanie w wypowiedzi lub na dołączonej kartce danych o autorze, takich jak wiek, wykształcenie zawodowe, wielkość zakładu pracy, stan cywilny i rodzinny itp.

Organizatorzy już teraz dziękują wszystkim za udział!

Modrak, jako prezes akademickiego koła wędkarzy miał niezaprzeczalne prawo do ostrej interwencji. Wszyscy widzieli jak biegł ostrym szpurtem w stronę wędkarza. Już on mu da — pomyśleli. Stała się jednak rzecz nieoczekiwana. Na kilka metrów przed celem Modrak odbił się nagle od czegoś niewidocznego i z przeraźliwym krzykiem runął na ziemię. Potknął się, pośliznął? I dlaczego tak wrzeszczy? Podbiegli całą gromadą. Modrak już nie krzyczał, szczerzył zębami ze strachu. Czupurek próbował podejść do nieznanego mężczyzny, ale nie mógł, coś go powstrzymywało. Dudusia także. Przejrzysty mur bronił dostępu do wędkarza. On zaś, odwrócony tyłem ciągnął właśnie opasłego leszcza, wykazując dużą wprawę. Po chwili ryba miotła się bezradnie w siatce. Mężczyzna odwrócił się i wstał. Był świetnie zbudowany, jego blade, złotawe oczy osadziły gromadkę w miejscu. Włożył modnie skrośnione spodnie z nieznanego, szklatego materiału, koszulę, wsunął się zgrabnie w złotawy kombinezon, włożył hełm na głowę, buty, zawiesił sobie na plecach jakiś aparat, uśmiechnął się życzyliwie, uniósł do góry i niemal momentalnie znikł.

— Kurcze blade! Miał rzeczywiście sześć palców u stóp! — krzyknął Czupurek, ale ożeniła się z wrażenia gromadka nie mogła jeszcze pojąć znaczenia tych słów.

6.

Nie było już czego szukać na martwej planecie. Wszędzie pustka, rozpaczliwe opuszczenie, wyjące wiatry, burze piaskowe, zasypujące wszystko, co jeszcze miało w gasnącej powoli pamięci. Niezbędne badania Telemetrii zostały ukończone, należało więc wracać na bezpieczny pokład „Adary”. Murzim postanowił, nie wiedząc dokładnie czemu, odwiedzić ulubione miejsce swojego dzieciństwa. Też sobie znalazł odpowiedni moment na prywatne sentymenty — pomyślała dosyć zgodnie cała załoga, nikt jednak nawet nie próbował odwieść dowódcy od dziwnego zamiaru. Niczego nie znajdzie, to jasne, ale czegoś szuka. Może to powrót do dzieciństwa jako źródła wiary, optymizmu, którego teraz tak bardzo potrzebował?

— Pojadę z tobą — ofiarowała się Danebola. — Dziękuję ci, ale, widzisz, chciałbym być sam.

Nie był zbyt sympatyczny w tym momencie, więc dała mu spokój. Odjechał małą, ale dobrze wyposażoną raketką, która spisywała się nieźle również jako pojazd naziemny. Murzim pochodził z gór. Jego dziad i ojciec zajmowali się uprawami i hodowlą. Kierowali obrzymi plantacjami roślin jadalnych i fermami zwierząt. Zaopatrzenie w żywność sprawiło mieszkańcom Telemetrii coraz więcej trudności, zwłaszcza po zniszczeniu Planety Owoców przez roboty Demoriona. Trzeba było produkować żywność na ubogich glebach rodzimej planety. Ojciec, wybitny specjalista w dziedzinie gospodarki żywnościowej, daremnie usiłował zachęcić syna, by podjął dziedzictwo, kontynuował rodzinną tradycję. Murzim zupełnie nie interesował się nowoczesnymi zakładami przetwarzającymi surowce roślinne i zwierzęce w gotową żywność, nie chciał nawet zająć do wytwórci doskonałych środków farmakologicznych, które utrzymywały astronautów Telemetrii w znakomitej kondycji fizycznej i psychicznej, i bez entuzjazmu przyglądał się eksperymentom naukowemu ojca. Ciągnął go góry, doliny, delikatny fiolekt jezior, złotawe wody strumieni i rzek, ów serdeczny komplet nieskazanej jeszcze natury — dzikie trawy i krzewy, kwiaty kołyszące się na wietrze ostatnie lasy Telemetrii, otoczone czujną opieką specjalistów, ale nie rozdeptane jeszcze przez turystów i ich pojazdy.

Jechał początkowo wzdłuż znanego mu szlaku, ale im dalej od stolicy, tym cięższa stawała się droga. Podał więc raketę i poszybował w stronę gór w nadziei, że znajdzie tam jeszcze jakieś ślady dzieciństwa. Może ocalało źródełko w głębokiej kotlinie, czyste jak świat marzeń chłopca? Utrudzony wędrowką po górach zawsze odpoczywał nad czystą wodą, pił długo, chętnie zachwycony urodą i naturalnością tego skrawka Telemetrii. Prawdziwie były błękitne mchy i karłowate drzewka przyćmiewane do skał palcami korzeni, prawdziwy był samotny ptak drapieżny, czający na ów moment, kiedy zatroskana matka maleńkich świstunów porzuci ich na chwilę szukając pożywienia. Maleńki świat w skali planety, rezerwat w gruncie rzeczy, obywateli się jednak bez specjalistów, uzbrojonych w korektory wzrostu wszystkiego, co żywe, aparatów pomiarowych, automatycznych analizatorów, czy telemikroskopów sięgających czujnymi oczami daleko w głąb ziemi.

Nie pomylił się. Rozległy płaskowyż, gdzie budowano wielkie centrum przemysłu spożywczego i chemicznego, dumę ojca, dosięgły już piaski nawiane potężnymi wiatrami, ale mniejsze, głębokie doliny, osłonięte skalami, pozostały jeszcze czyste i sprawiły wrażenie żywych, ale Murzim wiedział, że to tylko złudzenie. Krażył przez pewien czas nad obszarem, który bronił się skutecznie przed pograżeniem w morzu piasku, aż wreszcie znalazł swoją kotlinę. Z lądowaniem nie miał kłopotu, raketka wylądowała płonowo tuż przy źródełku. Woda zmieniła i nie nadawała się już do picia, mchy straciły swoje żywe niegdyś kolory, karłowate drzewka zastąpiły jak we śnie, z którego już się przebudzić nie mogły, ustalo dawno krążenie soków. Nigdzie wesołych świstunów czy drapieżnego ptaka. Coś jednak pozostało z dawnych lat — źródełko, choć skażone, było nadal, te same postrzępione skały zwisały nad dolinką. Rozejrzał się uważnie. Serce zabiło mu mocniej — szalas stał nie naruszony. Zbudował go kiedyś sam, własnymi rękami, przy pomocy prymitywnej siekiarki. Sam szukał nieużytecznego już drzewa i gęstych mchów na pokrycie dachu. W szalście, jak w intymnej świątyni własnych, ukrytych przed innymi myślami, marzył o sławie, miłości i pierwszych sukcesach.

Szedł w stronę szalasu zamysłony i w pierwszej chwili nie uświadomił sobie sygnałów komu katora, a ten właśnie czuły aparat informował, że zbliża się do silnego pola osłonowego, ale nie falowego typu. Jakiego więc? Komunikator okazał się bezradny, sygnalizował jeszcze tylko brak wahań temperatury i jakiegokolwiek przejawów życia. Murzim wygrzebał się szybko ze wspomnień, porzucił dawne lata i wrócił do rzeczywistości. Silne pole osłonowe wokół pustego szalasu? Nie falowe, a więc jakiego pochodzenia? Któż mógł je na takim pustkowiu zainstalować? Po co? Kto podtrzymuje jego moc i gdzie się ukrywa? W szalście?

— Pobiegnij do rakiety i nadawaj komunikat o nieoczekiwanym odkryciu. Wezwał Arktura i Szaulę, przyłecieli jednak wszyscy z pełnym wyposażeniem naukowo-badawczym, arsenałem broni i kilkoma wielofunkcyjnymi robotami.

— Przyznam, że i ja jestem zaskoczony — powiedział profesor Sadalmelek gramoląc się z szybkością rakiety bojowej — nie złość się Murzimie, musieliśmy przyłecić w komplecie!

— To zwykła niesubordynacja!

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Dzieci kosmosu

— Ale niezwykła sytuacja! Mamy tu wyraźnie do czynienia ze świadomą ingerencją jakiegoś trzeciego czynnika.

Może to być — przyznał w duchu Murzim — ktoś się zainstalował na Telemetrii po wielkiej bitwie radioteleków z robotami Demoriona. Może to być, a czemuż by nie? Nie wracał już do kwestii karności, zarządził natomiast szczegółowe rozpoznanie sytuacji. Uruchożono w mig spektrometry, analizatory przestrzeni, echosondy, a mechaniczne krety, zdolne przebić się przez najwęższe przeszkody, czułe na światło i dźwięki, zaryły się w ziemię. Już pierwsze wyniki badań okazały się szokujące. Kopuła ochronna, osłaniająca szalasa, miała jednak charakter falowy, ale nie spotykany dotąd na Telemetrii. Częstotliwość drgań była tak wielka, że sprawiała wrażenie przezroczystego ciała, twardego ponad wszystko, co dotąd znali. Mechaniczne krety i echosondy „ustaliły”, że spod szalasu prowadzi w głąb skalnego podłoża jakiś sztuczny korytarz.

— Myślimy tu niczego takiego nie budowali! — powiedział Murzim — więc kto, kiedy i po co?

— Można sądzić, że na Telemetrii zagnieżdżyła się wysoko rozwinięta, podziemna cywilizacja, chyba falowa — Ehat, największy bywalec Wszczęściwa wyglądał na szczerze przekonanego do swoich własnych słów — sam stwierdziłem niejedną przypadkę zajmowania opuszczonych planet przez zachwyconych nimi przybyszów. Co jednym wydaje się już bezużyteczne, innym może się wydać nawet rajem. Weźmy za przykład chociażby Pierwszą Galaktykę. Do dzisiaj miejsce ginących z różnych przyczyn cywilizacji zajmują inne, krańcowo odmienne, gotowe żyć w warunkach, zdatnych do egzystencji.

— Cóż by w takim razie z tego wynikało? — spytał ironicznie profesor.

— Nie specjalnego — odparł spokojnie Ehat — należy im życzyć powodzenia i ruszać dalej.

— Chyba tak — zgodziła się Danebola, ale bez przekonania.

— Masz jakieś wątpliwości? — Owszem — zamyśliła się — niepokoi mnie falowa konstrukcja pola siłowego — ja wiem, że myślimy takiej nigdy nie budowali, ale...

— Mnie to samo niepokoi — Arkturn, jako artylerzysta i w ogóle znawca broni, rozumował poważnie — trzeba to rozważyć i zobaczyć co tam jest!

— W żadnym wypadku! — zaprotestował Murzim — nikt z nas i nikt z radioteleków nie będzie już miał żadnej pociechy z Telemetrii, nigdy tu przecież nie wrócimy. Czemu jednak wlamywać się do domów tych, którzy tu po nas zamieszkali?

— Kiedy to niemożliwe — przerwał mu profesor — absolutnie niemożliwe!

— Co jest takie znowu niemożliwe?

— Jakimże cudem mogli się tu osiedlić? To niemożliwe. Twierdzą, że tu nikogo nie ma! Profesora słuchano jak zawsze z uwagą. Przyznał, że początkowo rzeczywiście myślał o ingerencji jakiegoś trzeciego czynnika kosmicznego, ale teraz uprzejmie przeprosza, bo to oczywista bzdura. Musieli być przybysze z bardzo odległych stron Wszczęściwa, z jego krawędzi. Zbadano przecież bliższe i dalsze galaktyki i nie zauważono tak rozwiniętej cywilizacji, zdolnej w błyskawicznym tempie przenieść się na Telemetrię i zakopać Skąd, od kogo dowiedzieli się, że właśnie tu znajdują odpowiednie warunki życia? Kto ich uprzejmie zawiadomił o wojnach z robotami, kto porządził im, żeby poczekali na wynik ostatniego starcia, kto mógł przewidzieć wynik!

— W porządku, profesorze, jesteśmy przekonani, że tu nikogo nie ma! — Ehat mówił spokojnie, jakby od niechcenia — ktoś jednak skonstruował nieznaną nam pole siłowe, zbudował jakieś podziemne tunele! Proszę nam to jeszcze wyjaśnić i odjechać zamy.

— Tego i ja nie rozumiem — profesor zamyślił się — właśnie tego. Szaulo, czy nie mogłabyś — nie dokończył, ale wszyscy wzdzielili o co mu chodzi.

— Mogłabym, to jest konstrukcja falowa, może uda się wybić dziurę.

— Próbuj! — zgodził się Murzim — ale pod

warunkiem, że potrafisz ją zalać. A my spróbujemy nadawać sygnały wzdłuż tego podziemnego korytarza. Może nam kto odpowie?

— Nie będzie żadnej odpowiedzi — oświadczył stanowczo profesor, bo to niemożliwe, ale nadawajcie sobie te sygnały.

Profesor miał rację. Żadnej odpowiedzi nie usłyszeli. Natomiast Szaula, wspomaganą przez Ehat i Danebolę, po nie nazbyt długich próbach doszła do wniosku, że można wybić dziurę w osłonie, a potem ją zalać. Przed wyprawą spożyli specjalny, wzmacniający posiłek przygotowany przez doktor Mirah. Podniecony Murzim zapomniał o względach bezpieczeństwa, nie podzielił załogi, pozwolił iść wszystkim. Przy raketach pozostały tylko roboty.

Na Telemetrii nie było już pół dnia ani roku, trwała niezmiennie jakaś szara, ołowiana pogoda, gdzieś za górami szalasy z pewnością płaskowa burza, ale tu, w kotlinie panowała półmroczna cisza. Przesłonięli się kolejno wąską szczeliną, którą „wydłubała” w osłonie Szaula i przedostali się do szalasu. Wzruszony Murzim spostrzegł natychmiast portret matki,

poddać gruntownej rewizji moje dotychczasowe poglądy. Oni tu chyba są.

— Chyba ich nie ma — powiedział Murzim — od razu widać, że trafiliśmy na jakąś drogę ewakuacyjną...

— Uwaga na komunikatory! — przerwał im dyskusję Ehat.

Zajęci wymaganą zdani dopiero teraz usłyszeli szum, jednostajny, monotony i bardzo jeszcze odległy.

— To nie jest wodospad — szepnęła Danebola.

Wszyscy znali jej szczególną wrażliwość. Odczuwała wszelkie emanacje szybciej niż ktokolwiek z załogi, to przecieżyła ona dzięki temu szczególnemu uczeniu wykryła obecność Hariona na pokładzie „Adary” i to wtedy, gdy był on jeszcze niewidoczny. W nieznanym dla innych sposób, nie wiadomy i dla niej samej, umiała przewidzieć zmiany w spokojnej na pozór przestrzeni kosmicznej, zapowiadała błędnie lawice meteoroidów, wylądowania elektryczne, wybuchy jądrowe nie mówiąc już o zmianach pogody.

— A co to jest? — spytał Murzim.

— Nie wiem, podejdźmy bliżej.

I ten tunel kończył się na podobnej grocie. Tylko szum zdawał się wzrastać.

— Pracują jakieś urządzenia przewodzące energię, wyczuwam już mechaniczną regularność, jakiś rytm... tak, to musi być słownia, ale chyba specjalnego rodzaju, z pewnością nie zasiała fabryka... może ogrzewa, albo oświetla?

Włączyła falowe palce. I tym razem trafiała na mechanizm otwierający, skala rozstąpiła się i znowu tunel, tym jednak razem krótszy. Zatrzymali się przed gładką, stalową ścianą. Szum pracujących urządzeń był już całkiem wyraźny. Danebola pomyliła się. Za ścianą rozgrywało się coś zdecydowanie rozumnego, przemyślanego, ale to nie mogła być fabryka. Miękkki, jednostajny dźwięk, przypominający bzyczenie ziemskich pszczoł, sugerował, że za ścianą niczego się nie wytwarzało, nie dobiegał stamtąd żaden warkot, stukanie, nic nie uderzało, ani zwiększało tempa, nie wznosiło się ani opadało, trwał niezmienny, miarowy szum. Murzim rozkazał przejść na język falowy znany tylko radiotelekom.

— Chyba spróbujemy przedostać się tam — powiedział.

— Bezwzględnie tak — poparł go profesor — oni tam jednak są, nie więcej po tej stronie ściany nie stwierdzimy.

— A ja uważam — sprzeciwił się Ehat — że zawsze trzeba szanować dobre obyczaje. Nasza cywilizacja odeszła z Telemetrii, przysłała nowa. Tak to bywa, nie należy więc zakładać spokoju nowym gospodarzom.

— Może oni są z natury przyjaźni? — spytała Danebola.

— Z natury to oni są miłczkami, nie odpowiadają na żadne nasze sygnały. Co to może znaczyć?

— Dużo, albo i nic — profesor zamyślił się — przyznać trzeba, że to dziwne istoty, a raczej nie istoty. Jestem niemal pewien, że miałem tu do czynienia z typem życia zbiorowego, jakąś świadomą lawicą, chmurą, plazmą, chyba elektryczną, sterowaną przez jeden centralny ośrodek, który naszych sygnałów nie rozumiał.

— Nonsense! — Murzim zniecierpliwiał się trochę — a niby skąd się tu tacy wzięli?

Skąd? Profesor łatwo to wyjaśnił. Ta cywilizacja mogła się narodzić w czasie ostatniego starcia Telemetrii z Hegemonią. Wylądowania były ogromne, gigantyczne, wybuchy następowywały całymi seriami, a to właśnie najwgodniejsza kolony dla cywilizacji elektrycznych. Pewnie początkowo prymitywnych i niekonkretnie groźnych. Otóż ta cywilizacja, która trzeba uznać za naturalnego spadkobiercę radioteleków, całkiem zwyczajnie wykorzystwała podziemne urządzenia Telemetrii, zadomowiła się jakoś i właśnie dojrzewa, być może nawet, że przygotowuje się do wyjścia na powierzchnię.

— Zaczynają! — polecił Murzim.

Danebola rozpoczęła dokładne badanie ściany falowymi palcami sprzężonymi z desyfratorem. I tym razem z dobrym skutkiem, co potwierdziło niejako hipotezę profesora. Mieli do czynienia z nowymi, ale przecież rodem z Telemetrii, urządzeniami zabezpieczającymi. Nie było na co czekać Murzim rozkazał sprowadzić na wszelki wypadek symulantów, niech oni ruszą pierwsi. Symulantami nazywano specjalny rodzaj robotów do złudzenia przypominających istoty rozumne. Nie szło, rzecz prosta, o ich wygląd, ale ich reakcje. Przypływały albo zwalniały, kulily się, padały, uciekały lub parły do przodu, a z ich falowej emanacji można było odczytać rozmaite uczucia — strachu, dumy, zniechęcenia czy radości. Symulanci szli zawsze pierwsi, jeśli sytuacja nie była pewna lub kiedy groziło poważne niebezpieczeństwo, odwracali uwagę „tamych”, stwarzając dogodniejszą sytuację dla „żywych”.

Stalowa ściana otworzyła się bezszelestnie i symulanci ruszyli. Czekał dość długo, wreszcie Murzim zdecydował.

— Ruszamy, nie się nie dzieje!

Istotnie, wargniecie symulantów nie spotkało się z żadną reakcją, tylko ów mechaniczny szum był już całkiem wyraźny. W pierwszym pomieszczeniu pracowały urządzenia, które wydały im się znane, nie było jednak czasu na szczegółowe oględziny. Profesor, jak zawsze znany pasją poznania, popędził pierwszy dalej. Po chwili usłyszeli jego podniesiony głos — ale to niemożliwe! Pozostała trójka pobiegła do sąsiedniego pomieszczenia i stanęła jak wryta na progu obrzumiłej jaskini. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się piętrowe sarkofagi z ciałami radioteleków śpiących hibernacyjnym snem. Setki tysięcy spoczywały w następnych jaskiniach.

— To są ci, którzy się nie zmieścili! — westchnęła Danebola — co my teraz zrobimy?

— Zasnęli z wielką nadzieją, nie mogło być inaczej! — odpowiedział Ehat — a my niczego nie możemy zrobić.

C.D.N.

# 1

## Nagle zastępstwo

### Mój drugi debiut

Mój pracodawca, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, rozpiera mnie swoją szczodrością nad wyraz. Niczego — prócz ptasiego mleczka — mi nie brak. Doszło już do tego, że słodziutka marmelada mi obrzydła i nie mogę na nią patrzeć!

Toteż ani mi w głowie zmiana pracy. Założmy jednak, choć to założenie absurdalne, że postanowiłem rozstać się z moją ubóstwianą, złotodajną RSW i poszukać sobie innego zajęcia. Natknąłbym się na nie lada rudości. Otóż mianowicie za młodu byłem pacholcem kramarnym i nie słuchałem tatusia ani mamusi. Mamusia radziła medycynę, tatusi politchnikę. Ja natomiast poszedłem sobie, wstyd powiedzieć, na studia humanistyczne! W efekcie nic właściwie konkretnego nie umiem, no bo pisanie co tydzień takich różnych kawalców dla rozweselenia moich Wielce Szanownych Czytelników przez nikogo poważnego nie może być traktowane jako zajęcie godne dorosłego mężczyzny...

Toteż właściwie alternatywa pisania w RSW może być tylko pisanie do prasy drugiego obszaru piątniczego.

Tu mała dygresja, skierowana nie do Najczelniejszych Czytelników a do zupełnie innych osób. Redaktorze Naczelny i Ty, Szanowny Panie Radco, zatrzymajcie w biegu swoje szybkie ołówki! Doczytajcie łaskawie do końca!

Zaraz wyjaśnię motywy, które kierują moją myśl w stronę concernu Springera, Agencji France Presse i Reutera Pierwszym i niebagatelnym, przynajmniej, argumentem za podjęciem zatrudnienia w prasie bądź radiofonii zachodniej byłoby apanaże, wypłacane w walutach, które nie są prawnym środkiem płatniczym w PRL, z wyjątkiem eksterytoryalnych placówek Pewexu. Jeśli korzysta ktoś z banku pt. Polska Kasa Opieki (Pod Twoją Opiekę uciekamy się...).

Jest i argument drugi. Też zresztą moralnie śliski. Mianowicie sądzę, że praca dziennikarska, polegająca na przysyłaniu korespondencji z Polski do central zlokalizowanych na zachód od Łaby jest zajęciem miłym i nieambarasującym. Jako zdefiarowany leń wykonywałbym ją z prawdziwym upodobaniem: nie wymaga ona ani jeżdżenia po kraju w celu zbierania informacji ani kontaktowania się z całą masą ludzi i natrętnego wypytywania ich o najróżniejsze rzeczy. Nic takiego, wystarczy posłuchać RWE, wsłuchać się w ogólny ton tych audycji i przyswoić sobie, terminologię. Całą resztę czerpiemy z głowy, czyli z niczego. Tylko sąsiad i pisać!

Spróbuję zatem, oferując, Szanowni Panowie, debiutancką poniekąd, korespondencję pt. „Festiwal piosenki w PRL — reżymowe imprezy propagandowe”.

„Całkowita degrengolada życia umysłowego w PRL, spowodowana głównie przez odejście z oficjalnego obiegu wszystkich liczących się autorzy intelektualnych i moralnych, a także całkowite podporządkowanie zarówno Ministerstwa Kultury jak i wszystkich reżymowych stowa-

rzyszeń pseudokulturalnych i pseudotwórczych odpowiedniej laczce MSW powoduje, że minister kultury Żygułski (wstawiony w swoim czasie osobistym dokonywaniem rewizji w mieszkaniach nieprawomyślnych artystów) poszukuje gorączkowo wszystkich możliwych form, które mogą stanowić chociaż namiastkę prawdziwego życia kulturalnego. Stąd bierze się specjalna troska o festiwale piosenek! Reżym usiłuje rozbaćwić naród, usługuje zagluszycie powszechny płacz!

Możemy sobie darować opisywanie tzw. Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Każde dziecko w Polsce wie, że Zielona Góra na czas Festiwalu jest miastem zamkniętym a amfiteatr, w którym odbywają się koncerty, otoczony jest drutem kolczastym i strzeżony przez potrójny kordon: wojska, milicji i KGB. Na festiwalu bawia się szampański sekretarz KC, generałowie i inni promieniści, oczywiście w towarzystwie oficerów radzieckich, szampań leje się strumieniami!

Nieco inny charakter ma Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. Jest on okazją dla — przynajmniej — nielicznej grupy artystów kolaborantów, li czących na specjalne względy rządzącej junty. Za udział w festiwalu można liczyć na asygnatę na rower albo odbiornik radiowy, nagrodą dla zwycięzców bywają zaproszenia na koncerty w krajach Układu Warszawskiego.

Wstęp do amfiteatru jest wolny, przecież i tak nikt nie kupiłby biletu. Organizatorzy sztucznie podtrzymują frekwencję, spędzając pacjentów pobliskich szpitali psychiatrycznych. Na ekranach telewizyjnych łatwo ich rozpoznać — kolebią się rytmicznie na boki. Typowy objaw otępienia środkami psychotropowymi...

Jury, składające się w siedemdziesięciu procentach z funkcjonariuszy kursu kas-truje niemilosierne teksty piosenek. O przykłady bardzo łatwo — choćby tekst nagrodzonej piosenki pt. „Brylantowy kolczyk”. Po ingerencjach cenzury jest to bełkot bez ładu i skladu...

Wreszcie Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu. Prestiżowa impreza junty! W koncertach występują wyłącznie piatni agencji wywiadu i kontrwywiadu, publiczność składa się wyłącznie z wojskowych. Piosenki piszą wyłącznie oficerowie — pułkownik Przymanowski i major Drzewiecki. Ten ostatni nawet reżyserował jedno z widowisk. Jaki mają charakter te widowiska? Wiadomo. Reżyserowane przez Drzewieckiego było gloryfikacją tzw. niebieskich beretów, tj. ORMO i ZOMO!

Na Festiwal Piosenki w Sopocie mają przyjechać nawet artyści z wolnego świata! Zapewne za grube pieniądze...

Festiwal sopocki w następnej korespondencji. A w najbliższym czasie artykuły pt. „Uczta Lukullusa, czyli prywatne życie ministra Krasin-skiego” i „Ruch naturystyczny w okowach”.

Z drugiej strony jednak... Może lepiej zostać przy swoim? A jak ktoś to weźmie serio? Krzysztof Drzewiecki np.? I da mi po pysku? Zawód korespondenta ma być ciemne strony.

ANDRZEJ KAROL

# 2

### Zakochany morderca

Brazylijski serial „Niewolnica Isaura” wywoływał niebawymie namietność. Jedni sztydzi, inni piali z zachwytem. Przed telewizorami zasiadali ludzie nauki, kultury, techniki, robotnicy, ciolipi i gospodynie domowe oraz babcia i dziadkowie. Ale to już minęło. Teraz telewizja wyświetla kilka seriali jednocześnie, co nie budzi już większych namietności i w zasadzie przechodzi bez echa. A myślę, że warto byłoby jednak choć przez chwilę zatrzymać się nad tym.

Jest wprawdzie lato. Znowu mamy upały, ludzie siedzą na plaży, nad wodą, —ją po gorach, kąpią się i być może nie mają czasu i ochoty śledzić na przykład losów miłości Iana i Diany z angielskiego serialu „Diana”, czy też losów dużej grupy Brazylijczyków z brazylijskiego serialu „Kto kocha nie zabija”.

Oba te serie nie przedstawiają sobą zbyt wielkiej wartości artystycznej, można się w ogóle spierać, czy je przedstawiają, ale zajmują czas wieczorem w niedzielę i w poniedziałek. Są obecnie na telewizyjnych ekranach, co pokazuje, o czymś mówią.

„Diana” od początku nie wzbudziła mego zachwyty. Wykrzywałem się obrzydliwie po pierwszych dwóch odcinkach, za co zostałem ostro skrytykowany i przywołany do porządku przez siostrę część naszego domu. Poddałem się i nawet mnie wciągnęło. Obudziła się we mnie chorobliwa ciekawość, co też jeszcze wymyśli autorzy i jak to pokaże reżyser. No i wymyślił — zakochanego komandosa pacyfistę. Trzeba było długo główkować, aby wpasnąć na taki pomysł. Mogli na to wpaść tylko Anglicy.

Stanisław Cat Mackiewicz zwrócił się we wrześniu 1957 roku w felietonie „Muchy chodzą po mózgu”, który znalazł się w ziorze zatytułowanym „Kto mnie wołał, czego chciał...” wydanym przez PAX w 1972 roku, że jego książka „Londyniszcz” drukowana najpierw w odcinkach w „Prze-gładzie Kulturalnym”, a następnie wydana przez „Czytelnika”, nie wzbudziła entuzjazmu rodaków, a wręcz przeciwnie. Jak pamiętam Stanisław Cat Mackiewicz zarzucił w „Londyniszczu” Anglikom, że są sądykami i w ogóle wyrażał się o nich nieprzychylnie. W „Muchy chodzą po mózgu” Stanisław Cat Mackiewicz napisał: „Anglia pchnęła nas do wojny, która nam przyniosła klęskę, Anglia nie dotrzymała nam traktatów zarówno tych, które podpisane były jawnie, jak i tych, które podpisane były tajnie, Anglia w stosunku do krwi polskiej stosowała zupełnie inny rachunek, niż w stosunku do krwi angielskiej, jawnie uważając w ten sposób nas za ród-dzaj rasy niższej, wreszcie Anglia za pomocą swojej buchalterii zatrzymała sobie złoto polskie”.

A Polacy mimo to kochają Anglię i Anglików.

Przypomniałem sobie słowa Stanisława Cate Mackiewicza, gdy oglądałem Iana, jako zakochanego komandosa pacyfistę w czasie akcji w Francji, kiedy to ma zabić jednym strzałem niemieckiego przemysłowca i specjalistę od tajnej broni. Partaczy, rani, robi masakrę, demoluje lokal i popada w szok. Jak z takimi komandosami Anglicy mogli w ogóle zwyciężyć w tej wojnie?

Tak się złożyło, że przeczytałem ostatnio kilka pamiętników cichociemnych, szkolonych właśnie w Anglii, a następnie zrzuconych do Polski. Nie wyobrażam sobie, aby taki „komandos” chodził po obcym mie-szkaniu z rewolwerem jak armata w wyciągniętej ręce. Z pamiętników cichociemnych, których — jak wspominałem — szkoleniu w Anglii, można się dowiedzieć, że uczono ich strzelania z biodra i to w spo-

śób błyskawiczny. Wyciągnięte ramię na całą długość u niby dobrze przeszkolonego komandosa wygląda śmiesznie i niezadarnie. Ale mniejsza o ramię. Cały ten komandos wygląda śmiesznie i żalostnie. Nieprzypadkiem już dwukrotnie powiedziano mi, że jest „mleczak”. I na to wygląda. Dał się bowiem załatwić jak niemowlak, a nie komandos.

Alle oczywiście w wielkiej wojnie ludzi niby cywilizowanych mogła się zdarzyć i taka ofiara. Diana w porównaniu z Ianem jest o wiele mądrzejsza, wytrwalsza, silniejsza i sprytniejsza. Pozostały jeszcze dwa odcinki. Zobaczymy, co reżyser wymyśli nowego. Moja chorobliwa ciekawość jest wyraźnie podniecona.

Gdy oglądam kolejny odcinek „Diany” myślę sobie o tytule brazylijskiego serialu: „Kto kocha nie zabija”. No właśnie, zakochany komandos jest pata-lachem nie mordercą. Ale w brazylijskim serialu też się kochają i to na potęgę, już nie wiadomo, kto kogo i dlaczego, a przecież wszystko wskazuje, że i tu muszą paść trupy. I znów moja chorobliwa ciekawość daje o sobie znać. Zasiadam co poniedziałek przed telewizorem i po Teatrze Telewizji przełączam się na drugi program, aby zobaczyć, co znowu ci rozpasani Brazylijczycy wymyślili? Coś mi się wydaje, że i zakochani zabijają. Ale pozostajmy do końca obu seriali.

### ZENON POROWATY

# 3

## Spojrzenie znad szachownicy

### Gra w mieszkania

Upprzedzam, że wszystko to może okazać się mało śmieszne, są jednak sprawy, które z natury rzeczy są mało śmieszne i nie na to nie można poradzić. Zresztą GRA W MIESZKANIA — oczywiście obojętne gry w szachy — jest najtrudniejszą z gier, z jaką może spotkać się współczesny Polak i trzeba traktować ją poważnie.

Zdarzało się, że prozono wybitych szachistów o dokonanie niepartii rozpoczętej przez gracza słabego, tak zwanego fuszera. Ci — jeżeli już zgodzili się na podobny eksperyment — zeznawali później, że bardziej niż ewentualne uszczerbki materialne raził ich ponury bezład przedstawienia bierok, którymi musieli kontynuować rozgrywkę. Trudno było pojąć, dlaczego jedna figura stoi tu, a druga tam, po jakie licho pokiereszowano linię pionów i co właściwie robił rok w centrum szachownicy? Nasz mistrz zmuszony był tedy sączyć od niepozornych posunięć pozwalających ułożyć porcję, wprowadzić choć trochę sensu do tego bezsensu, a dopiero później mógł myśleć o ostatecznym zwycięstwie.

Z mieszkańcami podobnie. W mniomym czterdziestoleciu podjęto kolejno tyle sprzecznych ze sobą decyzji, wykonano tyle nieskoordynowanych ruchów, że dziś sam czort się nie połapie, jaka właściwie pozycja stoi na mieszkaniowej szachownicy.

Mamy mieszkania kwaterekowe, spółdzielcze, własnościowe, nie mówiąc o domkach jednorodzinnych różnorodnego sortu są mieszkania, które można sprzedać bądź zapisać w testamentcie, takie, których sprzedaż nie można, oraz takie, które można wprawdzie sprzedać, lecz nie zaraz. Jedno mieszkanie wolno zamienić, inne nie bardzo. Opowiadano mi — podejrzewałem, że to kawał, ale podobno szczerą prawdą — o fałsi, który chciał zamienić czteropokojowe mieszkanie na trzypokojowe, dużo zresztą mniejsze. Ktoś z bliskich umarł, dziecię się wyprowadziło, no i czlowieku został sam z żoną i kolekcją kaktusów, a może rybkami w akwariach, dobrze już nie pamiętam. Znajomi zaś, duża rodzina, mieli skurat trzy pokoje, też kwaterekowe.

Przyznaje, że trzy pokoje to dość dużo dla dwóch osób, mniej jednak, niż cztery. W czterech wszelako wolno im mieszkać — placąc oczywiście nadmiernie — jako że byli tam zaszedzeni od

lat wielu, mają ważny przydział, no i tak dalej. Trzech natomiast nie mogą dostać, przeto pisy ponoc nie pozwalają, czyli zostanie tak jak jest i tej dużej rodzinie z trzy-pokojowego mieszkania nie a nie się nie poprawi.

Prezydent Niewiadomski mówił kiedyś na spotkaniu z dziennikarzami, że gdyby jakimś cudem wyprowadzić wszystkich ludzi z miasta, a potem wprowadzić ich ponownie — na każdego przypadłaby mniej więcej jedna izba. Tylko, że on nie wie niestety, jak to zrobić, bo kto ma mieszkanie z wygodami — gazem, c.o. i tak dalej — trzyma się go kurczowo, w ostateczności biorąc sublokatorów.

Idąc tym tropem przedstawiam jeszcze jedną mieszkaniową zagadkę, wypracowaną zresztą do możliwie czytelnego schematu, w istocie bowiem cały układ jest jeszcze bardziej skomplikowany.

W dużym, staromodnym, praktycznie niepodzielnym mieszkaniu zostały już tylko trzy osoby: bezdzietne małżeństwo i daleko z nim spokrewniona starsza pani. Kiedyś mieszkanie było nader zagęszczone, przeto zarówno małżeństwo jak i starsza pani zapisali się do dwóch różnych mieszkaniowych spółdzielni; tej ostatniej chodziło chyba o Dom Złotej Jesieni, czy coś w tym guście.

Rzecz zrozumiała w obu spółdzielniach jest kolejka. Nie ma też mowy o żadnych nadzwyczajnych przyspieszeniach, bo wymieniam mieszkają przecież w zupełnie dobrych warunkach. Wprawdzie — gdyby mieszkanie zostało zwolnione — kwaterek byłoby wiele kontenty, pytanie jednak, co władze kwaterekowe mogą właściwie zrobić, co mogą zrobić lokatorzy i co może zrobić ktokolwiek?

Szaciele! — mam przynajmniej nadzieję — już pojęli, w czym rzecz. Nie da się logicznie rozegrać partii, gdy ktoś jeden będzie zawiadywał pionkami, ktoś inny figurami hetmańskiego, a jeszcze ktoś inny figurami królewskiego skrzydła. Podobnie przy GRZE W MIESZKANIA, że pozostane przy tym określeniu. Spółdzielnia X — wierzę, że naj-sprawiedliwiej jak tylko potrafi — dzieli to, co ma do podzielenia. Przejrzę kolejkę, bierze pod uwagę wszystkie możliwe preferencje. Spółdzielnia Y — toż samo. Obie, wciąż działające w zarysach intencji, obiektywnie oddają jednak moment, w którym kwaterek przejmie duże mieszkanie, przydzieli je dużej rodzinie, do zwolnionego przez tę dużą rodzinę małego mieszkania wprowadzi jakąś rodzinę mniejszą, no i tak dalej.

Wszyscy chcą dobrze, a ideal, o którym mówił prezydent Niewiadomski — jedna osoba w jednej izbie — pozostaje tylko idealem. Biorąc na tak zwany chłopski rozum sprawa jest niby prosta, ale przestaje nią być, gdy zwązamy, że spółdzielnie mieszkaniowe są samorządne, zasadność przydziałów podlega kontroli, a przepisy pozostają przepisami.

Odniesi jednak tkwi błąd i niech go tylko tydzień odsapną, a postaram się go znaleźć.

JERZY P.

# 4

## Sport

### Nawet piłkarze nie zawiedli

Nadszedł wreszcie ten upragniony moment, kiedy torba już spakowana, bilety w kieszeni, trasy uzgodnione i tylko felieton pozostawał do napisania. Dlaczego pozostawał? Ludzie, co za pytanie — jadę na wielce zasłużony urlop. Zadeni deszczu mi nie straszne. Jadę do lasu, gdzie grzybów w bród i ryby pływają w rzekach. Są jeszcze takie lasy i takie wody. Gdzie? Tego nikomu nie zdradzę. Na urlopie lubię ciższ.

Informuję o tym Czytelników z całą premedytacją, aby nie dali się nabrać na pomysły wyssane z brudnego palca różnych rezerwowców, zastępców i temoż podobnych, którzy już się cieszyli, rączki zacierałi i szykowali się zrobić mi taki kawał, że się długo nie pozbie-

ram. Już raz mój zrobił i teraz kilku znanych lekarzy i to się nie kłania, bo poważnie wzięli moją rzekomą kontuzję i obrzadzili się, że nie u nich, a w Wiedniu leczym ko-lano. Ciekawa więc jestem, co teraz rezerwowe wymyślą?

Jadę na ten urlop pełna optymizmu. No, bo proszę sobie tylko polczyć. Można na palcach, jak ktoś nie ma kieszonekowego komputera. Mistrzostwa świata w zapasach w stylu klasycznym — to raz. Mistrzostwa świata w zapasach w stylu zrywnym indywidualnie — to dwa. Mistrzostwo świata w lantaniu precyzyjnym drużynowe — to trzy. Mistrzostwo świata naszych dziewcząt w pięcioboju indywidualnie — to cztery. To samo drużynowo — to pięć. Jedną rękę mamy już z głowy, i wystarczy srebrnych medali i brązowych liczyć nie będzie-my. A byłoby też co polczyć. Również dobrze można wyrazić się o postawie polskich lekko-atletów w Moskwie w walce o Puchar Europy, choć tu można byłoby i wybrzyźdzać, poziom nierówny, wyraźne braki w niektórych dyscyplinach. Odbyła się niedawno XII Spartakiada Młodzieży Szkolnej i chyba szkoleniowcy byli tam obecni i jakieś rozemnienie mają, kogo wziąć do klubu, kim się zająć, kto pokazał talent, a kto nie. Czas najwyższy, bo stare talenty już się kończą i odczuwamy gwałtowny brak następców.

Mego optymizmu nie potrafił nawet zniszczyć nasi wspaniali piłkarze. Nie zawiedli mnie. Zagrali jak nogi, albo jeszcze gorzej i po raz kolejny dowiedli, że wysiłek trenera Antoniego Piechaczki nie przynosi żadnych rezultatów. Przed meczem trener Antoni Piechaczek buńczucznie zapewniał, że baraż z Holandią na razie nas nie interesuje, że wszystko musi się rozstrzygnąć w Chor-zowie 11 września 1985 roku. Po meczu w Malmoe stracił jakby trochę buńczuczności i powiedział, że czeka naszą drużynę „długa i ciężka praca”. Dodał jeszcze, że „ma nadzieję”, iż zespół potrafi się do meczu z Belgią należycie przygotować. A mecz w Malmoe potrakował jak „zimny prysznic”. I słusznie.

Mam jednak do wypowiedzi kolegi optymisty, trenera polskiej reprezentacji kilka uwag. Na jakiej to podstawie był opty-mizem przed meczem w Malmoe i na jakiej buduje ten optymizm po meczu w Malmoe, mimo zimnego prysznicu? Przecież jak jest polska drużyna reprezentacyjna, każdy widzi. Dlaczego tego nie widzi trener? Może dał się zwieść 31 bramkom w ostatniej kolejce przed meczem w Malmoe. Jeśli tak, to podziwiam jego naiwność. Ponieważ tego dnia był upał, piłkarze chcieli jak najszybciej skończyć te piekielne mecze i grali, śpieszyli się okropnie, a przy okazji strzelali gole. Może powinni grać tylko w czasie upału?

Jadę na zasłużony urlop a całkowicie spokojem. Nawet nie wiem, czy 11 września włą-czę radio. Wynik meczu w Chor-zowie łatwo przewidzieć. Dla Belgów oczywiście!

Polskie Radio z lubością powtarzało, co po meczu z Polską powiedział trener szwedzkiej reprezentacji. Otóż powiedział on: „Gorszej postawy polski zespół nie mógł już chyba wy-kazać...” Ale to była tylko pierwsza część zdania. Trener szwedzkiej reprezentacji polapał się, że mówi rzecz bardzo przykłą i dodał, że radio już nie podało: „...ale wreszcie drużyny mają dobre i złe dni”. Słusznie zrobiło Polskie Radio, że tej drugiej części zdania nie podało, bo to była kurtuazja. A nam potrzeba gołej, brutalnej prawdy. Skoro już nie można gorzej pokazać, to znaczy, że nasza reprezentacja w piłce nożnej osiągnęła dno. Może w PZPN zastanowiliby się nad tym i wyciągnęli z tego właściwe wnioski.

Alle przez smutki, zmartwie-nia, napięcia, oczekiwania, zawody, rozterki. Najbliższe dni widzę w blasku słońca i gdyby nawet lato jak z cebra, to nie nie zmieści mego optymizmu i radości życia. Nasi wspaniali piłkarze na pewno mnie nie zawiodą, choć już gorzej postawę jak w Malmoe nie można wykażać.

Zyczę wszystkim dużo słońca, uśmiechu, radości. Urlop, to piękna rzecz! Teraz niech się martwią różne rezerwowe. Do spotkania po urlopie!

BOGDA MADEJ

Mieli jeszcze tylko jedną paczkę herbaty, kiedy dotarli do zajazdu zbudowanego na pustkowiu górskim. Takich zajazdów, bardzo luksusowych, wiele było rozrzuconych przy autostradzie. Półgodzinny pobyt w zajazdzie, obowiązkowa filiżanka kawy albo herbaty, drugie śniadanie lub obiad wliczony w cenę biletu na podróż autokarem. Zajazd zbudowano niedawno, tuż obok autostrady leżały jeszcze sterty płyt chodnikowych. Od gór nadciągła wieczerza a wraz z nią zaczął wiać chłodny wiatr. Właściciel zajazdu, Tutek, wykrzykiwał do nich łamaną angielszczyzną, aby weszli do zacisznego wnętrza i za darmo napili się kawy albo herbaty, posilili się ciastem. Lecz Peter przecząco pokręcił głową, z płyt chodnikowych ułożył ostoję wiatrem palenisko i nad wątlm ognikiem z suchych przydrożnych krzewów, rozstawił trójnog z garnuszkiem pełnym wody. Jak zwykle siedzieli przy tym ogniku — nieruchomi i niemi, gdy na autostradzie mknęły samochody, do zajazdu raz po raz podjeżdżały autokary. Potem podchodziły do nich turystki i kładły obok nich owinięte w celofan sandwicze, paczki herbatników, hot dogi serwowane w zajazdzie. A jakaś młoda kobieta w okularach w grubej oprawce przyniosła im dwa plastikowe kubki z gorącą kawą i potem sfotografowała ich siedzących w milczeniu i nieruchomo obok swego trójnoga i wątlwego ognia przygaszanego wiatrem. Nie tknęli sandwiczów, nie wzięli kubków z kawą. Zaparzyli wrzescie mocną herbatę, a po jej wypiciu mieli wrażenie, że za chwilę ulecą gdzieś wysoko ponad poszarpane szczyty gór. I znowu ich dłonie połączyły się ze sobą, aby lot nad górami nie rozdzielił ich. Wtedy to, Józef Maryn (choć nazywał się inaczej) poczuł, że nie ma prawa wstępu do krainy szczęścia i dobra, ponieważ nosi w sobie brudną tajemnicę. Nie jest tym za kogo bierze go Peter, wysłano go w świat, aby go poznał dla wykonywania przyszłego brudnego rzemiosła. Nosi więc w sobie kłamstwo, którego powinien się pozbyć — choćby tutaj, w tej chwili i na zawsze. Chciał to powiedzieć Peterowi, odczekał się po raz pierwszy i ostatni, wyrzucił z siebie swoją tajemnicę.

Od gór powiał mocniejszy podmuch lodowatego wiatru i gołe ramiona Petera zdrząły z chłodu. Wiatr przygasił ogień między betonowymi płytami chodnikowymi. Peter rozluźnił uścisk dłoni, wstał i poszedł do kosza na odpadki, chcąc podzucić do ognia trochę papierów, kartonów, starych gazet wyrzuconych przez turystów. Wrócił oblatowany śmieciami, ogień zapłonął silniejszym blaskiem, rzucił refleksy na ich twarze, ręce, a także na gazetę, którą Peter już miał cisnąć do ognia, gdy raptem zatrzymał dłoń w powietrzu. Przybliżył gazetę do oczu i twarz mu stała, usta zwały się mocno, na czole wystąpiły dwie bruzdy.

— To mój ojciec. Ten facet w czarnej ramce. Umarł — usłyszał Maryn trochę chrapliwy głos.

Swanson spojrział na datę gazety, którą do kosza na śmieci wrzucił jakiś podróży, potem złożył gazetę i schował ją do kieszeni spodni.

— Czy masz jeszcze choćby dolara? — zapytał po chwili. — Muszę zatelefonować do domu. Umarł mój ojciec, a ja jestem jego jedynym synem. Pozostawił mi firmę i muszę się nią zająć bo inaczej wszystko się rozpadnie.

Maryn wysupłał z paska od spodni ostatnie dwa banknoty, które zachował na chwilę największego głodu.

Peter wziął pieniądze i poszedł do zajazdu, aby gdzieś tam zatelefonować. Nie było go pół godziny, a kiedy wrócił, Maryn już wiedział, że ma przed sobą innego człowieka.

— Jutro przysła tutaj pieniądze na mój powrót do domu. Przykro mi ale muszę wracać.

Usiadł obok Maryna, wziął do ręki gitarę i zaśpiewał tą samą co zawsze balladę. Maryn miał jednak wrażenie, że coś w nim. Marynie pękło na zawsze. Dał się bezwstydnie oszukać. Nie wdawał z Peterem do żadnej „Krainy szczęśliwości”, ale w świat złudzeń i dziecięcych urojeń. Na planetę zwaną Ziemia nie przylecieli z wszechświata, ale urodzili się tutaj, pozostali nieodrodnymi dziećmi globu, który od wieków rządził się tymi samymi prawami. To był po prostu szczęśliwy traf, że pozwolono im dłużej niż innym zachować dzieciństwo. Mogli wycieczkę się autostradami i sądzić, że nie ich nie dzieli, że tworzą jakiś nowy świat wypełniony przyjaźnią i braterstwem. Byli zaś tylko dziwną enklawą, na którą zgodzili się ludzie dorośli. O każdym z nich pewnego dnia upomni się ów świat dorosłych, jakaś duża firma, sklepik, urząd, jakaś rejonowa komenda uzupełnień, jakaś ojczyzna. Na tych, co zbyt głęboko weszli w świat baśni gdzieś tam czeka szpital dla narkomanów, policjant, jakieś więzienie, jakiś grabarz, który za pieniądze ludzi dorosłych da im tanią trumnę i pochowa po cichu. On i Peter są zakurzeni wędrowną przez góry, lecz tak naprawdę od dawna siedzi w nich brud, ponieważ żadna wielka firma nie może istnieć bez brudnych interesów, a on Maryn też przyucza się do brudnego zawodu. Jak można było pozwolić się oszukać do tego stopnia, że znalazł się na krawędzi zdrady, gdyż urolił sobie raptem, iż Peter jest czysty a on brudny, potrafia przejść przez życie oceniając przed złem własną duszę. Już nigdy nie da się okłamać, że istnieje walka dobra ze złem. To tylko dobro przekształca się w zło, a zło przekształca się w dobro. Ktoś musi być zły, aby ktoś drugi miał wrażenie, że jest dobry. Nie ma kwiatów bez kupy łajny, nie ma befsztyku bez zamordowanego wółu.

Rankiem przeniesli się do luksusowych pokoi w zajazdzie. Właściciel, gruby Tutek, kłaniał się nisko Peterowi, chciał mu pozyczyć własną koszulę, aby ją tamten zmienił na tę z porzywianymi rękawami. Było to jednak już niepotrzebne, ponieważ wieczorem przyjechał po Petera samochód i przywiózł czyste koszule, garnitur, krawat, a nawet fryzjera, który obciął mu jego długie włosy.

Peter zaproponował Marynowi miejsce w samochodzie, ale Maryn odmownie i milcząco pokręcił głową. A kiedy samochód odjechał z Peterem, Maryn wybiegł za nim na autostradę i wygrażając pięścią, krzyknął: „Ty skurwysynu. Nie oddałeś mi moich dwóch dolarów”. Potem zaś przez dwa tygodnie układał płyty chodnikowe przed zajazdem i za otrzymane wynagrodzenie mógł odjechać w stronę domu luksusowym autokarem. W kilkanaście dni później, zanim przekroczył granicę swego kraju, dał sobie także obciąć długie złote włosy i wstając z fryzjerskiego fotela przydeptał je z pogardą. To był głupi gest, jego postrzyżyny odbyły się bowiem gdzie indziej i kiedy indziej.

W kraju zataił historię z Peterem. Ale wykrywacz kłamstw i kolejne testy, którym się poddał, musiały chyba odkryć w nim jakiś nowy rys albo po prostu bliźniętów o wymyślnym pęknięciu. Pewnego dnia poprosił go do siebie człowiek, którego uważał za swojego zwierzchnika, popatrzył na niego z jakimś nowym zainteresowaniem a potem wręczył paszport i adres sklepu z rowerami przy Deperstraat, gdzie potrzebowano sprzedawcy. Od tego czasu nigdy już nie słuchał ballady o prawdzie, którą miał przynieść wiatr, aż dopiero teraz poprzez szum lasu wydawało mu się, że znowu ją słyszy.

Nie trwało to jednak długo. W końcu zasnął coraz mniej odczuwając ból pulsujący w ramieniu.

Zbudził go Horst Sobota, który na drewnianej tacy przyniósł mu śniadanie — chleb z masłem, jajecznicę i szklankę mleka. Widząc dużą plamę słońca rozlaną na środku pokoju zorientował się Maryn, że mierzo południe.

— Po mleko dla ciebie poszedłem aż na wieś — pochwalił się Horst — Potrzeba ci sił. Józwa.

— W nocy miałem chyba gorączkę. Zdawało mi się, że pojąłem mowę lasu. Słyszałem w tym domu kobiety płacz. Ta rana chyba goi się nie najlepiej. Teraz chyba też mam temperaturę...

Horst zastanowił się: — To dobrze, że las zaczął do ciebie mówić. Może powie ci coś więcej niż Izajaszowi Rzepie, albo mnie? Zmusił się do jedzenia śniadania. Potem Horst przyniósł znowu miszkę z wodą. Maryn nasypał do niej trochę nadmanganianu potasu. Sobota zdjął bandaże i przemył ranę, którą odrobnie ropiała na krawędziach.

— Wszystko będzie dobrze — oświadczył Horst. — Byłem żołnierzem i wiele ran oglądałem. Ale ty, Józwa, nie wstawaj dziś z łóżka. Odpocznij. Ta rana zagoi się na tobie jak na wilku, bo jesteś złym człowiekiem.

# Wielki las

(9)

ZBIGNIEW NIENACKI

— Wciąż mówisz, że jestem złym człowiekiem. Nie zrobiłem ci nic złego — zauważył Maryn kładąc się znowu do łóżka.

— To ty sam powiedziałeś mi, że jesteś złym człowiekiem. Tak myślisz o sobie i to jest najważniejsze. Lasu nie zwycięża się dobrem. A ty już drugi raz zwyciężyłeś las.

— Tak? — zdumiał się Maryn.

— A tak, Józwa. Przez zło, które pomogłeś wyrządzić pewnej kobiecie. Nie pytał mnie o to. Na razie nabieraj sił.

Uchylił mu połowę okna, bo w pokoju było trochę duszno. Zabrał tacę ze śniadaniem, a potem miszkę wypełnioną fioletową wodą i zapaskudzone bandaże. Nie wrócił więcej — Maryn był z tego rad. Nie czuł się dobrze, myśli mu się mąciły, nie potrafił skupić swojej uwagi na żadnej sprawie. Przez uchylone okno od podwórza słyszał jak Horst Sobota rozkazuje komus a najpewniej sobie samemu: „Klacy trzeba nasypać owsa, a potem ją wypędzić nad jezioro”. Las szumiał już ciszej, mowę miał niewyraźną, ale przez krótką chwilę zdawało się Marynowi, że znowu słyszy cichy kobiecy głos. Dlaczego właśnie kobiecy, a nie dziecięcy czy męski? Czy tylko dlatego, że czekał na list od Eryki, na list, który nie nadchodził. Czego mógł się spodziewać po tym liście? Co odpisałaby na jej list? Że wystarczył mu tygodnie spędzone w lesie, aby pojąć, że istnieje w świecie miłość i są kobiety, które potrafią pójść za mężczyzną nawet na poniewierkę oraz, że jest taka odmiana odwagi, która graniczy z tchórzostwem. Wstyd mu się było przyznać, że pragnął Eryki, jej ciała, jej widoku, jej głosu. Pragnął o wiele bardziej niż wówczas, gdy ją miał przy sobie. Teraz było już za późno, aby odwrócić to, co się stało: jeśli powiedziała mu szczerze, że kogoś pokochała. Może spotkają się jeszcze raz, gdy Maryn znowu wróci do swojego zawodu, do owej nieustannej gonitwy za kimś i nieustannej ucieczki przed kimś. To nawet dobrze, że uświadomił sobie własne tchórzostwo. W zawodzie informatora źle się pracuje, gdy nie wie się o sobie wszystkiego. Wtedy pewne swoje słabości można zepchnąć w podświadomość. To nic, że potem podświadomość krzyczy jak szum lasu — głosem kobiecy, głosem dziesiątków kobiet, które załatwiały bez przyjemności, bo kobiety między jednym a drugim położeniem się do łóżka bywają gadatliwe: Tak naprawdę minionej nocy nie stało się nic złego. Jedynie Horst Sobota wmówił sobie, że Maryn jest złym człowiekiem, gdyż dla żartu powiedział mu w ten sposób o sobie. Maryn nigdy nie był zły, choć robił wiele zła. A zresztą, może to co czynił pozostawało poza dobrem i złem. Do diabła, miał przecież taki a nie inny zawód. I lubił ten swój zawód.

Przez uchylone okno usłyszał Maryn stary skrzypiący głos: — Zabije Horst wiazy w dwunastym oddziale. Tyle razy przeklinał las, aż wiazy uszły. Idź, zobacz. Wszystkie. Ani jeden tej wiosny nie ożył.

Plama słoneczna była już koło drzwi do sieni. A więc znowu minęło kilka godzin.

Horst odpowiedział: — Nigdy nie przeklinałem wiażów, Johan. To mnie las przeklął i zrobił mi wiazy. Miałeś mi przywieźć dziesięć ułi. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Maryn wstał z łóżka i bosy poszedł do okna. Odrobinę odsunął zasłony i zobaczył na ławce pod piotem starego leśnika z dużą czarną brodawką na nosie i czole. Siwe włosy jak u Horsta i tak samo poczerwiała twarz, tyle że bardziej pobrudzona. Sobota usiadł na ławce obok starego leśnika, Maryn znowu położył się do łóżka.

— Sad ci kwitnie i przywożę jutro dziesięć ułi — zaskrzytał stary głos. — Chciałem to zrobić wczoraj, ale jak zobaczyłem te wiazy, zabrakło mi sił.

Nastąpiła długa chwila ciszy, która tak zaciekawiła Maryna, że znowu wstał z łóżka i poszedł do okna. Stary z brodawkami siedział na ławce i w milczeniu płakał. Lzy ciekły mu bruzdami po twarzy i zatrzymywały się w kępkach siwego zarostu na brodzie. Sobota stał obok i milczał ponuro.

— Nie przeklinałem twoich wiażów — mruknął w końcu.

— Wiem — westchnął tamten. — Tak tylko powiedziałem, żebyś się rozgniewał.

Maryn powrócił do łóżka i bezwiednie słuchał tego, co mówił Horst:

— Tyle lat, tyle lat... Były już stare, gdy ja dopiero uczyłem się chodzić. Posadzono je przy królewskiej drodze i to od nich wzięło nazwę całe leśnictwo Królewskie. Potem zabrakło królów, a one rosły.

— To holenderska zaraza. Ogłódki. Podobne są do korników, małutkie na kilka milimetrów. W książkach jest napisane, że przenoszą na sobie grzyba, który zabija wiazy. One miały po dwieście pięćdziesiąt lat. Obliczyłem to, gdy jednego kiedyś zla-mała wichura. Umarły, Horście. Nadleśniczy kazał je wszystkie wyciąć, żeby zaraza nie poszła dalej w las. Chodź Horście do lasu.

I chyba poszli, gdyż zaskrzyiała furka w ogrodzeniu. Maryn znowu wstał z łóżka i tylko w krótkich kalesonach powędrował do łazienki z sedesem. Horst Sobota miał dom pięknie urządzonej, z elektryczną kuchnią, łazienką, ubikacją wykładaną niebieskimi kafelkami. To wszystko kazał chyba zrobić jego syn lekarz, zanim wyjechał w świat po siawę.

Usiadł na sedesie i w tym momencie zauważył wiszącą na sznurku nad wanną swoją wypraną koszulę i kobiece majtki. Czyżby Horst kogoś ukrywał w swoim domu? Czyżby była w tym domu jakaś kobieta? Nie czuł potrzeby zgłębiania tej sprawy. Horst Sobota miał prawo do swoich tajemnic i do robienia i mówienia rzeczy sprzecznych ze sobą. Nienawidził lasu, a przecież poszedł oglądać martwe wiazy. Mówił, że mieszka sam, a przecież w łazience suszyły się majtki. Najgorsze, że rana wiaży pulsowała lekkim bólem i w sobie czuł ten sam co w nocy śnący i ugniatający piersi ciężar.

A tymczasem Horst Sobota i leśniczy Kondradt szli linią oddziałową między wysokopiennym lasem sosnowym dobrze prześwietlonym słońcem i siedmioletnim młodnikiem od dawna domagającym się czyszczenia. W milczeniu, sapiąc ciężko, dotarli do wielkiej łąki leśnej i przecinającej ją drogi wysadzonej starymi wiażami. W tle buchającej zieleni łąki, dwa rzędy ogromnych suchych drzew wyglądały jak dwuszereg kościotrupów. Wysokie na czterdzieści metrów, o korze chropawej, tu i ówdzie splekanej od mrozu, z nalotami szarego mchu. Ani w ubiegłym roku, ani w tym nie zrodziły już liści, które wyglądały tak dziwnie. Liście były owłosione, eliptyczne, o podwójnym piłkowaniu, grube, na zewnętrznej stronie ciemnozielone i szorstkie, od wewnętrznej strony jaśniejsze i także owłosione. Umarły na holenderski leśny syfyllis przywleczony przez ogłódki i wsączonej w naczynia drzewa jak krętek biały w krew krążący żyłami ludzkiego ciała.

Piękne drewno, zasobne w twardziel, choć łatwo się paczące. Dobre na okleiny, na stępki, posycia burtowe, gdyż miało odporność na gnicie w wodzie. Dobre na elegancką stolarkę, ozdobną galanterię, na królewskie stoły. Pod ich cieniem jecha-li tedy na polowania królowie na przelicznych rumakach, możnowładcy, dworacy Horst Sobota i leśniczy Kondradt stali długo patrząc na szkielety drzew i udzielał im majestat śmierci, która tu wkroczyła, a która ich też miała wkrótce spotkać, ponieważ ich czas mijał. Horst miał więcej lat, ale Kondradt był bardziej schorowany. Stali więc nie opodal królewskiej drogi i patrzyli, wciąż patrzyli na uschnięte wiazy, porażeni myślą jak bezbronna i wrażliwa istota czasami stawał się las i jak łatwo było mu zadać ból.

— Tak naprawdę, Horście — odezwał się półgłosem Kondradt — nie wierzę w żadne grzyby. Wiazy są królewskimi drzewami i zabrakło im monarszego majestatu. Kilka lat temu był tutaj baron Bohna z Bohna, który posiadał te lasy, a teraz ma gdzieś w świecie małą drogerię. Opowiadał mi, że coraz mniej jest królów i w ogóle nie ma już cesarzy.

Sobota pomyślał, że Kondradt mówił prawdę. Jeszcze trzy, cztery lata temu o tej porze roku każdy z ogromnych wiażów przypominał zielony dzban, wypełniony szumem wlochatych liści. Jeszcze nie tak dawno szerokie korony ocieniały porośniętą trawą drogę królewską, wrocie wobec każdego intruza leśnego, ponieważ z każdym rokiem coraz bardziej spragnione były światła i słońca. A teraz pierwszy wiosenny wiatr pole-mał najcięższe suche zarośla, aż zwiślały bezwładnie na czubkach drzew i na końcach grubych konarów. Zatrzymała się raptownie wędrowka soków, płynących w górę niewidocznymi w pniu kanalikami. Po co komu wiazy, skoro już nie ma królów ani cesarzy?

Józefa Maryna zbudziło mocne walenie do drzwi od podwórza. Zerwał się, narzucił kurtkę mundurową i poszedł otworzyć.

Przed drzwiami stał leśniczy Kulesza. Pijany, czerwony na okragłej twarzy, nie ogolony.

— Tu jest moja żona — burknął do Maryna.

— Nie mi o tym nie wiadomo. Przepraszam, że tak wyglądam, ale spałem — tłumaczył się Maryn.

— Ten przeklęty staruch, Horst Sobota, zabrał mi żonę — krzyknął Kulesza, podpierając się ręką o futrynę, bo nogi miał chwiejne.

— Nie ma go. Poszedł do lasu.

— Do lasu? On podobno nigdy nie chodzi do lasu.

— A jednak poszedł z jakimś starym leśniczym — spokojnie tłumaczył Maryn. — I co on ma wspólnego z pańską żoną? Dlaczego tutaj ma być pańska żona?

— Kulesza usiłował odebrać Maryna, ale tamten stał w drzwiach i zagradzał sobą drogę.

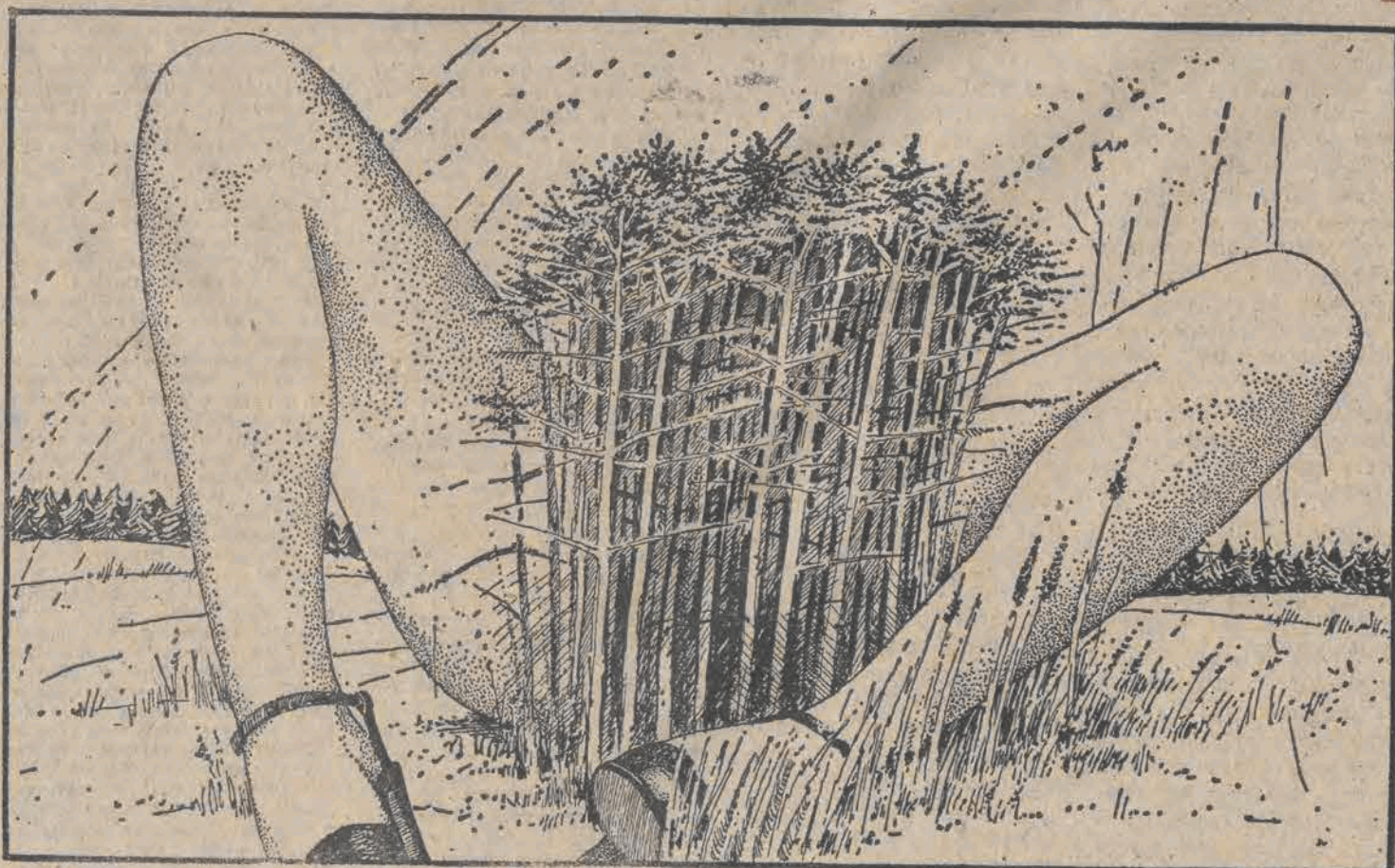
— Pan nic nie rozumie — Kulesza siałował się z Marynem.

— Ona była tego kochanka. Wróciła do niego a ja za to zabije. I ja i tego. Niech mnie pan puść ja tu ja znajde.

Maryn wziął pod ramię leśniczego Kulesze i stanowczo odprowadził do furki w ogrodzeniu.

— Radzę iść do domu. Pan jest ołjary — powiedział.

CDN



Rys. Janusz Szymański-Glane